ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 12 | BYDGOSZCZ — PAŹDZIERNIK | ROK 1946

Marian Jaroczyński — *Traktat toruński 1466 r.*



MARIAN JAROCZYŃSKI (1819—1901) — MAŁO ZNANY MALARZ I GRAFIK, Z POCHODZENIA TORUŃCZYK, Z DZIAŁALNOŚCI — POZNAŃCZYK, WIELKI PATRIOTA (DZIAŁACZ POWSTAŃCZY 1863 R.), JEDNA Z CIEKAWSZYCH POSTACI MINIONEGO STULECIA.



TADEUSZ CIEŚLEWSKI SYN
HALUCYNACJA STAROMIEJSKA DRZEWORYT

Franciszek Fenikowski

* * *

Nocą rozszeptaną, na pochmurnym nowiu,
gdy z Odry nie patrzą srebrzyste księżyce,
zaczajony w drżącym, nadbrzeżnym sitowiu,
posłuchałem losów swoich tajemnicę.

Byłem ongi dębem — pogańskim psalmistą,
śpiewałem — ostatni Swarożyca żerca,
korzeniami w ziemię wrastałem piaszczystą,
wgryzłem się drapieżnie i dosiągłem serca!

Dlatego dziś śpiewem płynę nad tą wodą,
budząc na niej kręgi coraz dalsze szersze,
a trzciny wpatrzone w toń chór ze mną wiodą
i muzycznie moje deklamują wiersze.

Ziemia krąży we mnie krwią swojego serca
i z ust mych wyrywa się pieśnią dębową,
dlatego ja — siewny dąb, poeta, żerca
sieję tu po wiekach znowu polskie słowo.

Bogdan Zakrzewski

JESIENNY WIERSZ

Oto mój najwierniejszy, tragiczny kochanek,
Zgubiony w głębi śniegów, rozbudzony wiosną,
Co w płomienistym lecie swą pieśnią miłosną
Zdradza mnie w polu, sadzie, wieczorem, [nad ranem.

I ciężarem owoców, tysiącem połogów,
Z których rwą się gałęzie, pęcznieją ulice,
Co rok obnaża moją świętą tajemnicę,
Aby wrócić pokornie do jesiennych progów.

Ty wiesz, że cię nie przyjmę skamieniałym [okiem,
Zatrutym grotem słowa, dumnie [w wzgardy szale.
Jak ty, pokorny wejdę w złote nawy alej,
Pojednani pójdziemy w milczenie głębokie.

I będzie nam tak dobrze, bo najsmutniej [w świecie,
Żeśmy oto nareszcie przybili do brzegu,
Że u kresu tych alej czeka nowy biegun,
Który znów nas rozdzieli, w obrotach swych [zmiecie.

Twoja ręka w mej dłoni rozpływa się mgliście...
Jaki dobry jest smutek zgonu i zmartwychwstań.
Tu nam życie wyznacza odloty i przystań.
To nie słowa szeleszczą, lecz z drzew [złote liście...

Karol Górski

TORUŃSKI TRIUMF I BŁĄD

Długich trzynaście lat toczyła się wojna Króla Kazimierza, syna Jagiełłowego z Krzyżakami. Zaczął ją jako człowiek młody — wnet po uroczystościach swego wesela z Elżbietą — ukończył jako mąż dojrzały.

Wśród hucznych uroczystości na wawelskim zamku, wśród ogólnej radości i zabaw w Krakowie — przybyło poselstwo, by prosić króla o przyjęcie całych Prus w swe poddaństwo. Nikt ze strony polskiej ich nie nakłaniał, nikt przesadnych obietnic nie czynił: przybyli sami, z własnej swej woli, bo Polska dać im mogła wolność. Na czele posłów stał sędziwy Jan Bażyński, rycerz z pod Dąbrowna, wytrawny polityk, który długo i wiernie służył krzyżackim panom. W końcu życia wspominał o krzyżackiej przewrotności — „oni tego nie wytrzymają" mawiał o młodych. I stanął na czele powstania. Duszą ruchu byli mieszczanie toruńscy, którzy przyszłość kraju widzieli w związku z Polską. I król Kazimierz nie zawiódł ich nadziei. Polska oparła się o morze. Po poddaniu się kraju przybył do Torunia. Wśród zabaw na dybowskim zamku, przyjął hołd na rynku przed ratuszem i pasował rycerzy. Ale po radosnych chwilach wiosny 1454 r. przyszły długie i ciężkie lata wojny. Zakon odrazu utracił Prusy, został mu Malbork, Sztum, Chojnice, ale za krzyżakami stanęły całe Niemcy. Ogromne majątki, jakie zakon posiadał w Rzeszy zostały zastawione za gotówkę, zaciągnięto pożyczki w całych Niemczech, i za nie wynajęto zawodową armię na odsiecz Prus. Polacy nie umieli wojować w taki sposób. Pamięć Grunwaldu jeszcze nie zagasła, wierzono, iż pospolite ruszenie na polu otwartym łatwo pokona krzyżaków. Stało się inaczej. Król Kazimierz pobity został pod Chojnicami, Krzyżacy zaczęli zwyciężać. Niezłomna wola Jagiellończyka stanęła im na przeszkodzie. Spokojnie, zbierał wciąż nowe wojska i szedł na Prusy. Nie był wodzem, ale był człowiekiem niezłomnym. Powoli poznano w Polsce nowe sposoby wojowania. Zarzucono wreszcie pospolite ruszenie i zaczęto wysyłać nieliczne zawodowe wojska. Przy królu stały wiernie wielkie miasta — Gdańsk, Toruń, Elbląg. Od najemników krzyżackich wykupiono Malbork, a choć miasto zostało utracone — zamek się bronił. Zakon począł się załamywać. Jedna twierdza po drugiej wpadała w ręce polskie, poddała się królowi cała Warmia, krzyżakom zaczęło brakować tchu. Ale nie chcieli ustąpić.

Od początku wojny zjawili się pośrednicy, ofiarujący pokój. Byli wśród nich książęta niemieccy, którzy chcieli upiec swą pieczeń. Byli papieże, którzy chcieli i Polskę i Zakon użyć przeciw Turkom. Stary Kalikst III Borgia, Hiszpan, przygotowywał nową wojnę krzyżową, popierali go kupcy z Barcelony. Krzyżacy podsunęli mu podfałszowaną bullę poprzednika, który rzekomo rzucił klątwę na buntowniczych poddanych. Kalikst ją potwierdził, ale Polska walczyła dalej. Pośredniczyli też kupcy z Lubeki. Ale Zakon początkowo nie chciał słyszeć o odstąpieniu piędzi ziemi — co najwyżej ofiarowywał królowi polskiemu pieniądze, by wyszedł z Pomorza opuszczając swych poddanych. Odpowiedzią mogło być tylko oburzenie. Król był równie uporczywy w żądaniu całego kraju. Wreszcie ofiarował w r. 1459, po pięciu latach wojny drobne posiadłości na północny zachód od Królewca bez tego miasta, bez prawa zbierania bursztynu i bez zamków, graniczących z Litwą. Tu mieli zostać krzyżacy, niezdolni odtąd do prowadzenia wojny i siania zamętu na Litwie. Cała reszta ziem krzyżackich miała należeć do Polski, Krzyżacy mieli składać hołd królom. Ale oni wybrali wojnę.

W r. 1464 Polacy żądali tylko Pomorza po lewym brzegu Wisły, Ziemi Chełmińskiej, Malborga i Elbląga, reszty zachodniej części Prus na lat 20, Krzyżakom zostawili wschodnią część kraju. Ci jednak ofiarowali Toruń i Ziemię Chełmińską oraz roczną daninę. W roku następnym Polacy ofiarowali Zakonowi tylko majątki koło Królewca bez samego miasta, i to jako lenno. Krzyżacy już ustępowali Elbląg i Gdańsk, ale chcieli mieć korytarz przez Polskie Pomorze i nie chcieli mówić nawet o Malborgu.. Wreszcie dnia 26 września 1466 poddały się Chojnice. Krzyżacy odcięci od Niemiec, ugięli karku. **Dnia 19 października 1466 w sali Dworca Artusa w wiernym Toruniu zawarto pokój między Zakonem a Polską.** Polska dostała dostęp do morza, prastary Gdańsk i ujście Wisły. Zakon zachował Królewiec i pruskie ziemie bez Warmii, Malborka i Elbląga z okręgami. Krzyżacy mieli być lennikami Polski, mieli przyjmować do Zakonu także Polaków, dostarczać królowi posiłków.

Nie wszyscy byli z pokoju zadowoleni. Biskup warmiński Paweł Begendorf, radził królowi toczyć wojnę nieustępliwie, Zakon wygnać. Ale król był znużony, Polska i Prusy wyczerpane. Króla ciągnęła żona do wmieszania się w sprawy czeskie, bo chciała pierworodnego syna osadzić tam na tronie. Nie dokończywszy sprawy pokój zawarto. Były w nim luki, które można było wyzyskać. W Kwidzynie rządził narazie biskup Polak, można było ten zamek z okręgiem zatrzymać i Zakon odciąć od Wisły. Można było dopilnować Krzyżaków, by zaprzestali intrygi lub spolszczyć albo usunąć. Ale **zabrakło wytrwałości,** króla poniosła jagiellońska łagodność. Gdy na sali Dworca Artusa stanął przed nim wielki mistrz krzyżacki, Ludwik von Erlichshausen, wynędzniały i w podartych szatach, król zeszedł z tronu wziął go w ramiona i jeszcze darował mu sporą sumę na zapłacenie najpilniejszych długów. Ale Krzyżaków nic ugłaskać nie mogło i zostało ognisko wrogie, gotowe godzić w całość Polski.

Pokój toruński uwieńczył, ale nie dokończył dzieła, zapoczątkowanego Grunwaldem. Zakon był strażą Niemczyzny, zbrojnym jej ramieniem, największą potęgą militarną Europy. W dwadzieścia lat po unii Polski z Litwą złamano jego potęgę na polach Grunwaldu, ale walczył on zaczepnie jeszcze 25 lat, by rozbić unię. Wojna trzynastoletnia odebrała wreszcie Krzyżakom Pomorze i część prawobrzeżnych ziem nad Wisłą, uczyniła z nich lennika. Nastąpiło to w 56 lat po Grunwaldzie. Tak wiele wytrwałych wysiłków trzeba było, by odzyskać owoce zwycięstwa, niebacznie wówczas utracone. Miało od pokoju toruńskiego upłynąć lat blisko 60 i można było zabrać resztę Prus, jak dojrzały owoc. Zaniedbał tego Zygmunt Stary. W pośrodku tych wydarzeń stoi pokój toruński, zwycięski i wspaniały, owoc twardego wysiłku, a nie zbiegu okoliczności, wymuszony przez potęgę Polski na wrogu uporczywym i silnym. Stoi zarazem jak przestroga, iż nie należy zostawiać rzeczy niedokończonych, ani stawać w pół drogi. Przez 300 lat Polska dzierżyła to, co zdobyła wówczas. Ale z resztki krzyżackich Prus wyrosło państwo Hohenzollernów, które sprowadziło klęskę rozbioru.

Dziś, gdyśmy bliscy zebrania owoców nowego zwycięstwa — pamiętajmy o toruńskich triumfach i toruńskim błędzie.

Alfred Kowalkowski

OBOWIĄZEK REPOLONIZACJI

Utarło się przekonanie, że przed pierwszą wojną światową w byłym zaborze pruskim Polacy pracujący w wolnych zawodach i w pewnej mierze rolnicy, wyłamywali się ze skomplikowanego, lecz mimo wszystko nieuchronnie działającego systemu germanizacyjnego, który za czasów Bismarcka sprecyzował olbrzymią skalę środków terrorystycznych. Jest to sąd fałszywy, oparty jedynie na pozorach, wiadomo bowiem, że nawet po upadku polityki „żelaznego kanclerza" Prusacy nadał umacniali element niemiecki na naszych ziemiach, posługując się wprawdzie nie tyle jawnym gwałtem, ile najrozmaitszymi wybiegami i podstępem. Cała sieć jawnych i poufnych rozporządzeń godziła w egzystencję Polaka pragnącego utrzymać się na własnej ziemi. Sprawy te trzeba pokrótce streścić, jeśli chce się zreasumować skutki niemieckiego postępowania.

Otóż zahamowanie naturalnego procesu parcelacyjnego przez długotrwały zakaz sprzedaży ziemi Polakom i przez baczną kontrolę nad wielką własnością rolną, spowodowały nienaturalny odpływ ludności chłopskiej z wsi. W następstwie synowie chłopów, napotykający ponadto na utrudnienia, gdy chcieli terminować w rzemiośle opanowanym już uprzednio w dość znacznym stopniu przez Niemców, musieli w większości jąć się pracy robotniczej. Ponieważ jednak tylko Śląsk posiadał silnie rozwinięty przemysł, ludzie ci bywali najczęściej skazani na emigrację do centrów fabrycznych i górniczych w Niemczech. Jeszcze trudniej było Polakowi zdobyć średnie czy wyższe wykształcenie, ponieważ — jak zresztą wiemy z życiorysów nielicznych jednostek, które zdołały wybić się ponad ogół po przezwyciężeniu wszystkich trudności — otaczała go sieć złośliwych szykan hamująca często nawet młodzież najbardziej uzdolnioną. Łatwiej już było zostać pracownikiem państwowym, urzędnikiem najniższej kategorii, ale nie tajono się tu nawet z istnieniem poufnego rozporządzenia, nakazującego Polakom przydzielać posady w najodleglejszych zakątkach państwa pruskiego.

Tak wielkiej liczbie ludności przesiedlonej z rozkazu lub zmuszonej do szukania chleba w Nadrenii i gdzie indziej wraz z niedobitkami Słowian naodrzańskich i z całą masą Polaków zwarcie zamieszkujących część Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Śląska, z mieszkańcami Mazur i Warmii — nie można było po 1918 roku oczywiście zapewnić egzystencji w kraju. W chwili kapitulacji Niemiec było tej ludności kilka milionów, trzeba zaś pamiętać, że autochtoni nie tylko byli związani z pozostałymi za kordonem ziemiami słowiańskimi więzami rodzinnymi i posiadaniem ziemi, ale również mieli narodowy obowiązek nieustępowania z eksponowanych odwiecznie słowiańskich terytoriów. Wielu jednak Polaków nie wróciło dlatego, że trudno im było porzucić w trudzie zdobytą własność lub zmienić nawet zawód, nie znaleźliby bowiem odpowiedniej pracy w przemyśle krajowym. Przypuszczam, że można zrozumieć ich postępowanie, choć oczywiście nie wykazali oni tak wybitnie u nas rozpowszechnionej gotowości do poświęceń i wyrzeczeń. Należy też pamiętać, że liczne jednostki przebywające długie lata w atmosferze zupełnie niemieckiej lub nawet urodzone już na obczyźnie, pozbawione często całkowicie możliwości posługiwania się mową rodzinną, musiały odczuwać znaczne opory, gdy postawiono je przed perspektywą powrotu i uczenia się wszystkiego na nowo. Żywe nawet poczucie rodzimości polskiej, często poniosło klęskę, co wobec zaniku odpowiedzialności za własne państwo, zrozumiałego po blisko półtorawiecznej niewoli, nie oznacza bynajmniej — jak się niektórym zdaje — braku świadomości narodowej.

Tym niemniej dokonano wówczas olbrzymiego wysiłku odzyskania największej możliwie liczby rozproszonych w wszystkich okolicach Niemiec Polaków, akcja ta zaś mogła była dać jeszcze lepsze wyniki, gdyby nie zaabsorbowanie młodego polskiego organizmu państwowego nieusprawiedliwioną polityką wschodnią. Takie ekipy repolonizacyjne, jak stworzony przez zamordowanego w 1939 r. prezydenta Bydgoszczy Barciszewskiego, czołowego działacza polskiego w Niemczech, konsulat zatrudniający ponad 50 osób, nie należały do rzadkości.

Zdziałano wiele. Wróciły setki tysięcy Polaków i zwarty ich front dokonał tego, że koloniści niemieccy powoli zaczęli na naszych ziemiach zachodnich tracić grunt pod nogami i usuwać się nawet z ośrodków, w których już znajdowali się w większości.

Nie odbywało się to rzecz prosta — bezboleśnie. Wracaliśmy — zwłaszcza młodzież — często tylko znając słowa polskiego pacierza, z Prus, z Nadrenii, z dalekich portów niemieckich i nawet z Kolonii w Afryce i Azji. Ukłucie szpilką, lub inna przykrość, która spotykała chłopca pytającego się po niemiecku o drogę w Poznaniu czy Toruniu, bolało go na pewno więcej niż w normalnych warunkach. Ale po roku nikt już nie wiedział, że niedawno znaliśmy tylko kilka słów polskiego języka. Również starsi musieli często wyzbyć się wielu dotychczasowych przyzwyczajeń, zapomnieć o stratach materialnych, chwytać się innej pracy. Ileż bezimiennych triumfów święciła wówczas polskość na wszystkich odcinkach. I nie jedyny był ten oficer, który wysłany przez matkę do Polski już w osiemnastym roku, bił się w szeregach powstańczych, choć nie znał w ogóle języka polskiego i zginął z komendą niemiecką na ustach.

Piszę te słowa nie dlatego, aby przypomnieć ówczesne dziwaczne lecz niemniej charakterystyczne, wynikłe na skutek niemieckich metod germanizacyjnych stosunki, lecz aby wykazać analogie ze stanem i warunkami dzisiejszej repolonizacji. Wprawdzie nienotowany w dziejach terror hitlerowski w konsekwencji poczynił ogromne wyłomy w poczuciu rodzimości u wielu Polaków pozostałych w Niemczech, bo nawet dalsze ćwierć wieku germanizacji z natury rzeczy musiałoby tu już dokonać znacznych szkód, ale faktem jest, że na samym wschodzie Niemiec uczciwe statystyki sprzed 1933 r. wykazywały ponad półtoramilionową rzeszę ludności słowiańskiej i że dalsze kilkaset tysięcy pozostało na zachodzie. Trudno tu podać liczby dokładne lecz na pewno nie będzie przesadą określić stan mniejszości słowiańskich w Niemczech na z górą dwa miliony, z czego trzy czwarte było rdzennych Polaków.

Gdzie są ci ludzie? Statystyki, zjazdy, chociażby ostatni zjazd w Szczecinie niedwuznacznie wykazały, że nie odzyskaliśmy ani połowy tych Polaków. Lecz z drugiej strony nie sposób przypuścić, by czasy pogardy i nienawiści hitlerowskiej tak silnie przetrzebiły tę ludność, skoro jeszcze przed kilkunastu laty element polski i słowiański znajdował się tu nawet — jak wykazują prace zaniepokojonych uczonych niemieckich — w ofensywie, jeśli rozrastał się i poczynał krzepnąć. Pewnie, że wielu załamało się pod naciskiem, lecz nie było to objawem powszechnym, wiemy bowiem dobrze, że w Polaku większy terror powoduje jedynie nasilenie oporu.

Niemożliwości nie można wymagać od nikogo. Tam gdzie nie było książki polskiej, szkoły, organizacji, kościoła, a jedynie partia i przymus, bez wątpienia kultura polska poniosła dalsze straty. Lecz uczucie rodzimości, często nawet pełna świadomość narodowa — pozostały. Powszechna fala spotęgowana goebbelsowską propagandą uniosła dużą część autochtonów-Polaków z naszych ziem zachodnich. Mężowie zostali powołani do wojska, wielu z nich zginęło, kobiety, młodzież i starsi odeszli przed cofającymi się armiami. Nie wszystkich udałoby się może odzyskać, lecz pomyślmy: może pół miliona z nich czeka na podanie im dłoni, pół miliona możnaby z łatwością repolonizować.

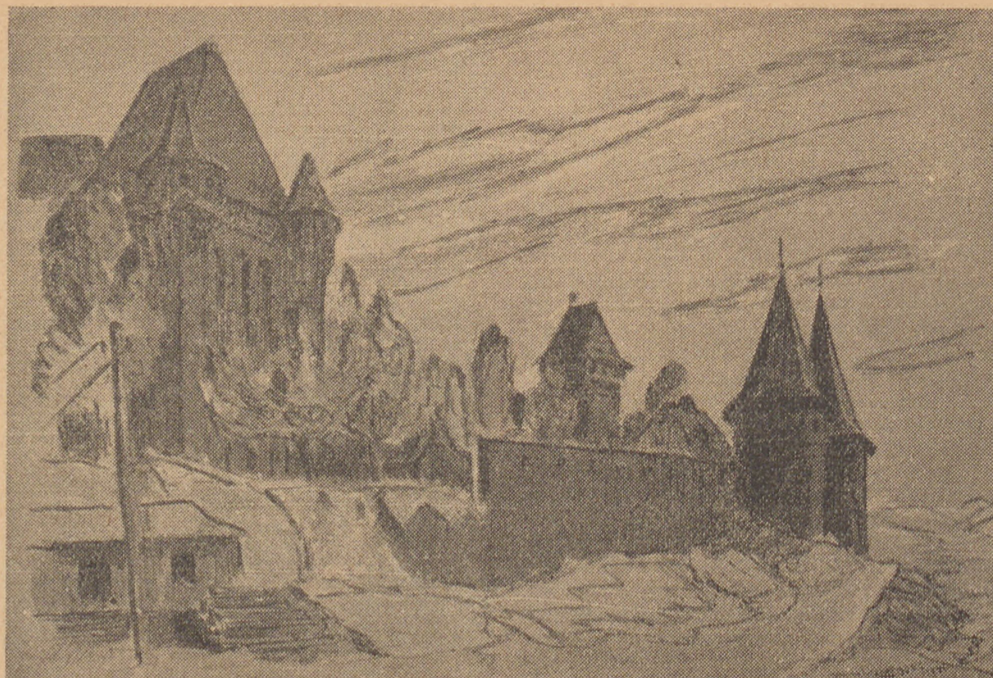
Sprawa nie jest prosta i wymaga dużej czujności oraz delikatności podejścia. Na szczęście minęły już czasy, kiedy królowała w tej dziedzinie kompletna ignorancja, kiedy to chodziliśmy od urzędu do urzędu by zapewnić bezpieczeństwo wdowie po zamordowanym działaczu polskim z Berlina, Polce i jej dzieciom, która straciła wszystko na skutek konfiskaty i bombardowania i znalazłszy się w Bydgoszczy, musiała ukrywać się, gdyż oczywiście posiadała obywatelstwo niemieckie. Nikt wówczas nie wiedział tu o Związku Polaków w Niemczech, patrzono tylko na barwę dokumentu. I dzisiaj nawet w naszych obozach znajdują się Polacy, którzy przybyli tu z Niemiec w czasie ostatniej wojny i na każdym kroku manifestowali swą polskość, a tylko dlatego posiadali wrogów, gdyż w trudnych warunkach wojennych nie każdego mogli wspomagać. Pomijam już bolesne doświadczenia, jakie przeżyli autochtoni na Ziemiach Odzyskanych z elementem awanturniczym, który w pierwszych miesiącach niepodległości szukał na zachodzie łatwego zysku za wszelką cenę.

Przemilczanie tych spraw może tylko utrudnić zrozumienie sytuacji. Nie można potępiać Polaków, którzy opuścili swe domy i poszli na tułaczkę. Między burmistrzem Złotowa, autochtonem, który choć z pewnym trudem, ale ze wzruszeniem wzbudzającym po prostu łzy, przemawia do nas długo i wszechstronnie o wpływie Mickiewicza i Sienkiewicza, czy nawet Żeromskiego na świadomość narodową Polaków w Niemczech, a robotnicą rolną, która przebywała od lat wśród zalewu germańskiego pod Szczecinem, istnieje ogromna przepaść. Ilu zaś Polaków w jeszcze trudniejszych warunkach żyje od dziecka w Duisburgu, Frankfurcie czy Hamburgu?

O tę mniejszość polską należałoby się zatroszczyć, policzyć ją, dać jej możność poznania na nowo języka polskiego i rodzimej kultury, utwierdzić ją w poczuciu odrębności narodowej, zjednoczyć ją w organizacjach, młodzieży dać szkołę polską, sprowadzać ją choćby na pewien czas do kraju, otworzyć pomost między nimi i ojczyzną, by przygotować warunki odpowiednie do odzyskania tych ludzi na stałe. Niemcy są pokonane, ale system germanizacyjny na pewno nie upadnie.

Dopóki można, należałoby ułatwiać powrót do kraju tym, którzy przetrwali w polskości i umocnić lub rozbudzić świadomość narodową we wszystkich, którzy jutro już mogą roztopić się w morzu germańszczyzny.

Bliskie są nam sprawy kilkuset tysięcy Łużyczan. Bliższy jeszcze powinien nam być los większej na pewno rzeszy Polaków na najsmutniejszej obczyźnie.



STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI
AUTOOFSET

ZAMEK KRZYŻACKI W MALBORKU
Z TEKI PT. „WIELKIE POMORZE"

Eugeniusz Paukszta

SMUTNE POKŁOSIE KSIĄŻKI WAŃKOWICZA

Już, gdy się czytało książkę Wańkowicza przed wojną, a szczególnie gdy się ją czyta dzisiaj — z pewnej perspektywy lat i wydarzeń tam poruszonych — nie można oprzeć się wrażeniu, że książka ta, mimo bezsprzecznych wartości tak popularyzatorsko-naukowych jak literackich, była jednocześnie pracą w pewnym sensie reklamiarską, obliczoną przede wszystkim na efekt.*) Świadczy o tym nie tylko zewnętrzna szata książki, rzeczywiście wyjątkowo efektowna, ale i wiele momentów w treści.

Istnieją nawet mocno niesmaczne, pospolite reklamy tych czy innych firm, w rodzaju:

„to zubożenie mowy polskiej wszystkim wychodzi na zdrowie i „szczędzi nerwy", jak kawa Hag". (str. 19).

„Jedna kieszeń zawiera ubrania Tili, druga moje, trzecia przybory techniczne, rybołówcze, warsztacik ślusarski od Bruna, apteczkę od Spiessa, książki, przewodniki, mapy itd." (str. 20).

Nazwalibyśmy te rzeczy czymś trywialnym, niesmacznym. To jest jednak do wybaczenia, choćby dlatego, że nikomu szkody nie przynosi.

Inaczej już przedstawia się sprawa wstępu, świetnie opracowanego stylistycznie, mocno przekonywującego. We wstępie tym Wańkowicz składa podziękowanie wielu naszym popularyzatorom i naukowcom z dziedziny prusoznawstwa, działaczom terenowym i wielu innym.

Ten indeks nazwisk przyczynił się do specjalnej nagonki na wymienionych ludzi w czasie okupacji. Nie wszyscy z nich pozostali przy życiu, inni pracują już dzisiaj nadal, wspominając czasy ciągłego ukrywania się, ciągłego niepokoju i trwogi.

*) Nie we wszystkim możemy zgodzić się z wyrażoną przez autora oceną popularnej książki Wańkowicza. Rozsądzenie, czy jej wartości pozytywne równoważą straty zadane kulturze polskiej przez lekkomyślność, o której mowa w artykule (fragmencie większej pracy na ten temat) — nie jest rzeczą łatwą i dającą się obiektywnie rozstrzygnąć (przyp. Redakcji).

Wańkowicz, wbrew radom i wskazówkom, wbrew gorącym prośbom ludzi znających dobrze systemy hitlerowskie, nie uznał za wskazane zmienić w swej pracy nazwisk i miejscowości, żeby nie ryzykować cudzym spokojem, mieniem a nawet i życiem. Informatorzy Wańkowicza, ludzie, u których czerpał materiał, radzili mu skreślenie kilku efektownych rozdziałów, nieprzytaczanie pewnych rozmów, zrezygnowanie z ambicyj osobistych na rzecz dobra sprawy ogólnej.

Nic nie pomogło. Względy na efekt, na niebaczną sensację swego rodzaju — przeważyły. Wańkowicz wydał „Na tropach Smętka" z pełnią nierozwagi, ze świadomym samolubstwem i egoizmem.

Warto tu wybrać kilka cytatów, gdzie Wańkowicz, podając dokładne nazwy miejscowości, ścisłe nazwiska ludzi, nie waha się przytaczać dosłownie rozmów i wypowiedzi, jakie z góry można kwalifikować do rzędu tych, które zainteresują Gestapo i z kolei zaszkodzą ich autorom poważnie.

Rozmawia Wańkowicz ze starym Kopką we wsi Piecki Krutyńskie:

„Podchodzi do nas drugi chłop i wita się „Heil Hitler!"

— Ale teraz to wszyscy się tak witają — mówię dyplomatycznie.

— Ano! — odpowiada Kopka — „Heil Hitler" przyszło i przejdzie, a „dzień dobry" było i zostanie".

Wyczuwa prawdopodobnie autor „Smętka" swoją nierozwagę, bo z kolei próbuje tak sprawę wyjaśniać:

„Powiedziane to jest bez żadnej politycznej pointy. Ot, mądry mądrością wieków stary człowiek po prostu stwierdza odwieczną prawdę tej ziemi, nie analizując bynajmniej, czy to jest dobrze, czy źle.

Mam nadzieję, że go nie będą prześladować za to, co powiedział. Kopka jest bardzo stary. Dlatego odważam się podać jego nazwisko i fotografię." (str. 68-69).

Albo nad jeziorem Wiartel rozmowa prowadzona z Pupilarskim na temat „korytarza":

„Zamyślił się poważnie i stary Pupilarski. „Pobadnął" (zmiarkował) że to tak łatwo nie będzie. W głowie coś waży. I trzęsąc starczą głową, zapytuje mię z powagą:

— Nie oddata korridoru?

— Nie oddamy.

— Nie oddata?

— Jakbyście wiedzieli, że nie oddamy.

Waży w sobie coś stary. Waży i decyduje się:

— Jak nie oddata, to już chyba bierta te Ostprojsy, bo to tak zewsząd obtoczone, co nijak nie może... A wama to rychtyg pasuje..." (str. 108).

A oto jak opowiada jedna z sióstr Tycówien o odezwaniu się starego zakrystiana Mazucha:

... „poszedł ten stary według cepów do nauczyciela Kalinowskiego, a nauczyciel Kalinowski fajn po polsku może. Ale powieda: „Teraz nie ma taki mody, coby po polsku mówić". A nos stary tak mu zek: „Pan Bóg z mody nie sądzi" (str. 161).

Wszystkie te szczegóły i szczególiki, rozmówki różnego rodzaju, bezwątpienia, że czyniły książkę bardziej pasjonującą, dawały nietrudny a duży efekt. Ale konsekwencje? — Oto, co pisze mi p. Emilia Sukertowa-Biedrawina na zapytanie, skierowane do twórczyni Muzeum Działdowskiego, w tej sprawie:

„Autochtoni tutejsi nie mogą mu darować do dzisiejszego dnia, że tak wiele zła sprowadził na tutejszych działaczy, którym skonfiskowano mienie, którzy musieli uciekać, cierpieć nędzę w Polsce przynajmniej jakiś czas. Na terenie skurczyła się własność polska. Brakło odważnych i dzielnych pracowników. A Wańkowicz był przez nas wszystkich ostrzegany... Niektórzy Mazurzy słuchać nie chcą o nim"...

Nie o wszystkich z postaci wymienionych przez Wańkowicza, można się było dziś czegoś dowiedzieć. Ale i ta garść szczegółów, jaką zdobyliśmy, jest poważnym oskarżeniem przeciw autorowi.

„Redaktor „Głosu Ewangielijnego", pierwszy kaznodzieja „Gromadkarzy", Reinhold Barcz, został aresztowany, a po długim pobycie w więzieniu ścięty w Berlinie w Mahabicie w roku 1943.

Rodzina działaczy plebiscytowych, Kiwickich, zmuszona została do długoletniej tułaczki. Koczowali cały okres wojenny na terenach Generalnego Gubernatorstwa, w ciągłym zagrożeniu i niebezpieczeństwie. Szczęśliwie, pozostali wszyscy przy życiu.

Słynny poeta ludowy Mazurów, „piszący słonecznym językiem niewyszukane wiersze", Kajka Michał, pozbawiony został pracy, wszędzie był lżony, wielokrotnie przeżywał rewizje Gestapo, aż wreszcie sterany trudem pracowitego życia, zmarł w początkach 1940 roku. Nie doczekał dni wolności, tej tak ukochanej, a nie znanej mu zbliska Polski.

Ciężkie próby przeszła Samulowska, właścicielka księgarni polskiej na Mazurach, ciężkie były losy rodziny Bocianów ze Szczytna, której najmłodszy przedstawiciel Jan szczęśliwie przetrwał piekło hitlerowskie. Nie zmogły go ciężkie dni więzienia, ani katorga w „obozach pracy" — dzisiaj pozostaje nadal w swym rodzinnym Szczytnie, jako pracownik Banku Ludowego.

Twarde były koleje wygnańca z ziemi wschodnio-pruskiej, redaktora i wydawcy „Cechu" dr. Kurt Obitza. Długo ukrywał się po miastach i wsiach polskich, aż wreszcie został w Puławach aresztowany i przewieziony do obozu w Dachau. Jeszcze w końcu 1944 były odeń stamtąd wiadomości, że żyje i trzyma się mocno. Od tego czasu słuch wszelki o dzielnym Mazurze zaginął.

Dosięgła też zemsta niemiecka w roku 1939 działacza plebiscytowego, kierownika

długoletniego tej dzielnicy Związku Polaków w Niemczech, Kazimierza Donimirskiego.

Stary organista Mazuch, i ten nie był pozostawiony w spokoju. Gestapo nie mogło mu nigdy darować ujemnego odezwania się o języku niemieckim.

Nikt z ludzi wymienionych w „Smętku" nie był pozostawiony w spokoju. Gestapo i Bund Deutscher Osten specjalnie się o to starały.

Książce odebrano debit w Niemczech, a egzemplarze, które się jednak do tamtejszej polskiej ludności przedostały, były konfiskowane przy ciągłych rewizjach. Rewizje te dotykały nie tylko Mazur, ale wszystkich pięciu dzielnic, objętych działalnością Związku Polaków w Niemczech. M. in. 16-go lipca 1937 r. w biurach polskich organizacji naczelnych na Śląsku Opolskim przy rewizjach w poszukiwaniu zabronionych książek, specjalnie interesowano się „Smętkiem".

Zainteresowanie było tak mocne, że nawet staraniem „Bund Deutscher Osten" za specjalnym zezwoleniem, ukazało się niemieckie tłumaczenie pracy Wańkowicza. Dano mu tytuł „Auf den Spuren des Smętek". Na okładce pod tytułem widniała tarcza krzyżacka ze swastyką i napis: „Ostpreussen im polnischen Lichte".

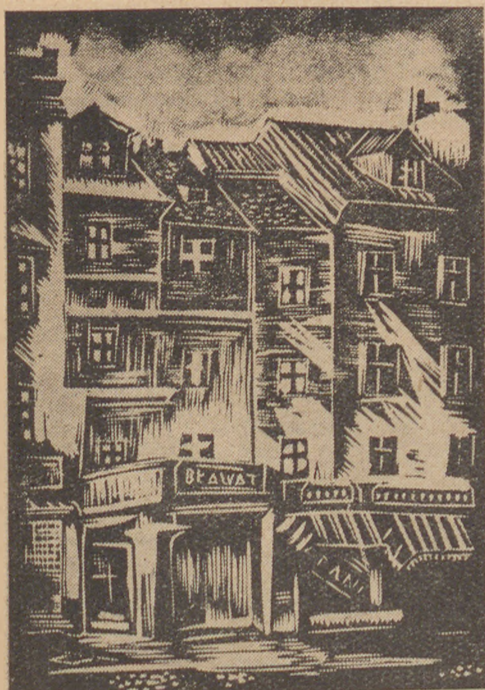
Jeszcze niżej podkreślony tekst: „Streng vertraulich" A. 56.

Tłumaczenie wydane było w formie powielonego maszynopisu i rozesłane w określonej ściśle ilości tylko najbardziej zaufanym osobom.

Wstęp z nazwiskami osób, które udzieliły Wańkowiczowi materiału, podany został dosłownie. Warto wspomnieć, że w aktach pozostawionych w Olsztynie przez Gestapo, znaleziono pisma odnośnie prac tych osób, a więc Biedrawiny, Małka, Srokowskiego i innych.

Niektóre rozdziały były streszczone, inne tłumaczone w całości. Maszynopis liczył 341 stron + 6 stron wyjaśnień i kilku wstępu, gdzie „Bund Deutscher Osten" odebranie debitu książce w Niemczech tłumaczy istniejącą w niej nienawiścią do Niemców.

Wyjaśnienie, — to w większej części stek oszczerstw i gróźb w kierunku „bohaterów" Wańkowicza.



HENRYK CZAMAN
KAMIENICE DRZEWORYT

Tibor Csorba

O JANIE DANTYSZKU

Podczas ostatnich lat, gdy tak wiele się mówiło o przyczynie wybuchu wojny, a tym samym o „korytarzu" i o Gdańsku — opracowałem stosunki polsko-węgierskie. Tematem moim był wiek złoty. Czasy humanizmu, kiedy to najpiękniej rozkwitła kultura polska i promieniowała na całą Europę środkową. Wówczas sprawa kultury polskiej była conajmniej tak powszechnie żywym tematem, jak w czasie tej wojny polityczne stanowisko Polski do „korytarza".

Wśród wielu wspaniałych postaci owych czasów zwraca coraz częściej uwagę na siebie poeta, dyplomata, podróżnik, biskup warmiński, Jan Dantyszek. Jego niezwykła postać — jedna z najciekawszych osobistości w pierwszej połowie wieku szesnastego — stała się szczególnie żywą dla mnie przez stosunki z Węgrami. Był on związany z ówczesnym światem politycznym i kulturalnym Węgier. Znali go humaniści, którzy ocaleli po Mohaczu (1526) i znaleźli dla siebie schronienie i teren pracy na terytorium króla Jana Zapolya. I tak na majątku Perenyi bawili nie tylko humaniści węgierscy. Tam znalazł poparcie dla swej pracy także Paweł z Krosna, ten pierwszy Polak, który na uczelni krakowskiej wykładał poetów klasycznych. Perenyi umożliwił mu wydawanie swoich utworów, on zaś szerzył sławę gospodarza. Zainteresował też sprawą węgierską swego serdecznego przyjaciela, Jana Dantyszka. Razem pisali Epitalamium z powodu ślubu Zygmunta I z Barbarą Zapolya. Piękną tę kobietę polubił cały naród Polski, a niejeden poeta polski opiewał jej urodę, szlachetne serce i przedwczesną śmierć.

Odtąd często spotykamy się w literaturze i w życiu dyplomatycznym z Dantyszkiem. Interesują go sprawy węgierskie i te osoby, które odgrywały rolę w dziejach obu narodów. Opisał podróż Zygmunta I na Węgry w „De profectione Sigismundi in Hungaria" informował później cesarza o układach z Zapolyą; nawiązał kontakt z wybitnym humanistą węgierskim, sekretarzem królowej Marii, Mikołajem Olahem; miał też nieprzyjemną sprawę z powodu tego, że jego bratańca zabili hajduki Andrzeja Batorego, byłego biskupa warmińskiego; osobiście też znał Węgry, gdyż bawił w Porsony, towarzysząc królowi polskiemu na świetnym zjeździe monarchów w 1515 r.

Stał się więc ważnym łącznikiem w sprawach polsko-węgierskich, dlatego też zainteresowanie nasze jego osobą ma specjalne znaczenie.

Tradycja rodzinna kierowała Dantyszka raczej do interesu, do handlu. Lecz zamiast rzemiosła powróżniczego, którym się trudnił jego dziadek, lub piwowarni i kupiectwa, co dało rację bytu jego ojcu, Dantyszek wybrał sobie drogę szerszą. Wybitnie uzdolniony gdańszczanin szukał intelektualnego otoczenia, w którym czuł się znacznie lepiej i swobodniej, aniżeli w rzemieślniczo-handlowym.

Po ukończeniu szkoły parafialnej w Grudziądzu, zapisał się na uniwersytet gryficki, potem na krakowski. Równocześnie poprzez studia zacieśniły się jego stosunki z dworem Jana Olbrachta. Tam też nawiązuje ścisły kontakt z światem naukowym, z wybitnymi humanistami, dyplomatami i z duchowieństwem. Dwór królewski stworzył mu możliwości wyjazdu zagranicę. Te podróże były tak ważne, że załatwienie ich wymagało nie tylko znajomości języków i zwyczajów obcych, nie tylko sprytu dyplomatycznego, nie tylko orientacji w historii innych państw, lecz też świadomego poczucia tej misji, którą wykonać rzadko kto potrafił lepiej od Dantyszka. Ten urodzony dyplomata stał się jednym z najciekawszych podróżników w dobie humanizmu. Dantyszek jako podróżnik nie jest dostatecznie znany i wykorzystany.

Jako siedemnastoletni chłopak brał udział w wyprawie przeciwko Tatarom i Wołochom. Dwa lata później posłował poraz pierwszy do Prus, po czym z zasiłkiem króla wyjechał na studia do Włoch. Wybrał sobie ciekawą drogę, bo jechał z Gdańska przez Danię i Francję do Wenecji. Tam dowiedział się, że odjeżdża okręt do Jaffy. Wsiadł nań i w ciągu sześciomiesięcznej fascynującej podróży zwiedził Korfu, Peloponez, Kretę, Rodos i Cypr. Dotarł do Ziemi Świętej, a nawet do granicy Arabii. Drogę powrotną kierował na Sycylię, był w Neapolu, w Kampanii i zakończył swoją podróż w Rzymie. Zwiedzenia tylu miejscowości i krajów zazdrościli mu rówieśnicy, dla których takie podróże były najwyżej marzeniem.

Po zobaczeniu szerokiego świata przyszło mu spędzać lata na ziemi ojczystej. Przez lat pięć (1508—1513) wyjeżdżał corocznie do miast pruskich jako referent spraw pruskich. Bawił na kresach litewskich w głównej kwaterze króla podczas wyprawy na Moskwę. Był pod Orszą i opiewał to zwycięstwo w utworze p. t. „**Silvae**" (1514) — na ten okres wypadła wspomniana już wyprawa do Porsony i do Wiednia, po czym razem z Drzewickim i Leszczyńskim pojechał do Wenecji. Powrócił do kraju przez Tyrol, lecz niedługo powtórnie wyjeżdża do Włoch, a później do Niederlandów, skąd ze względu na sprawy rodzinne wrócił do Gdańska. Głos ojczyzny był dla niego zawsze słowem świętym. Dlatego też bezzwłocznie wrócił do kraju, gdy dowiedział się o gwałtach krzyżackich na ziemiach zakonnych. Zebrany materiał i sprawozdanie o panujących warunkach w tych stronach kraju miał dostarczyć królowi, który bawił na Litwie. Po drodze zatrzymali go Krzyżacy i osadzili na trzy dni w jednym z zamków. Przekonał się więc sam o metodach Krzyżaków i tym gorliwiej przedstawił je królowi.

Lecz król potrzebował Dantyszka znów do dalekiej podróży. Wysłał go do Hiszpanii. Zrutynowany już podróżnik jechał przez Szwajcarię. Po drodze we Fryburgu rada miejska przyjmowała go jako sławnego poetę polskiego. Sława jego bowiem już dawno dotarła poza granicę państwa polskiego. Wróciwszy zdał sprawozdanie królowi, lecz służba dyplomatyczna wezwała go do Wiednia. Uroczyście przyjmowano go w Wienerneustadt. Przy okazji zwiedził Salzburg, Norymbergę, Ulm, Kolonię, Akwizgran i Antwerpię. Tam właśnie otrzymał nowy rozkaz wyjazdu do Hiszpanii. Tym razem jechał przez Calais. Lecz zawieruszył się do portu angielskiego, skorzystał więc z okazji i odwiedził grób świętego Tomasza z Canterbury, był w Sandvicz, nawiązał kontakt ze słynnym humanistą angielskim Tomaszem More-usem w Londynie. Po uzyskaniu przychylności Anglików dla spraw polskich wyjechał z Plymouth. Burza zagnała okręt od Kornwalii do Penzance, dotarł do Valladolidu, skąd odbył pielgrzymkę do grobu świętego Jakuba w Composteli. Dalszą podróż odbył statkiem z Cornu i wylądował w Middelburgu w Zelandii. Wracając zwiedzał miasta holenderskie i niemieckie. W r. 1524 jechał przez Wie

deń, przez Włochy, Szwajcarię, Francję do Hiszpanii, tym razem na lat siedem. Wtedy to zwiedził najruchliwszy ośrodek naukowy, jakim było, poza Paryżem Lowanium. Po tej wyprawie wrócił już do kraju na stałe.

Trzeba te podróże sobie uzmysłowić przy pomocy mapy geograficznej, by je móc należycie ocenić. Tym podróżom, odbytym przeważnie drogą morską, zawdzięczał szeroką znajomość geograficzną, tak że stał się miarodajnym autorytetem dla kartografów i geografów.

Nawiązał też kontakt z wybitnymi monarchami i ich otoczeniem intelektualnym. Podziwiali oni jego erudycję, zachowanie dworskie, zdolności dyplomatyczne, wszechstronną kulturę. Byli też zaszczyceni i jego przyjaźnią. Pragnęli poznać ten kraj, który wydał taki wykwit kultury.

Systematycznie nawiązywał kontakt najpierw z krajowymi, potem z zagranicznymi uczonymi. Do galerii jego najbliższych przyjaciół należeli: Paweł z Krosna, Andrzej Krzycki, Jan z Wiślicy. W. Gnapheus poeta z Elbląga, Jan Łaski, Mikołaj Kopernik. Razem z Nibszycem i Zambockim należał do tryumwiratu, który hołdował Bachusowi i Wenerze. Z Drzewickim i Leszczyńskim przygotowali wyprawę na Turków, oni też mieli przygotować podstawy pokoju w Europie.

Do zacnego koła jego przyjaciół należeli najwybitniejsi ludzie świata nauki zagranicą. Więc: Silvio Amato, Ursinus Velius, Agrycola młodszy, Walenty Eck, Herberstein, Tomasz More, Valdez, hr. de Monfort, hr. de Nassau, hr. de Cortez, zdobywca Meksyku. To elita ówczesnego świata. Również znał wodzów ruchu reformacji. Lutra, Melanchtona. Słynnych biskupów, Brask, Wagnus, Polenz, Sabinus, profesorów językoznawców jak: J. van der Campen (hebrajski), K. Goclenius (łacina), R. Recius (greka). Korespondował z twórcą ruchu humanistycznego, z Erazmem z Rotterdamu.

Z obszernej korespondencji Dantyszka poginęło dużo — z wielką stratą dla nauki; pozostałe listy (podobno blisko ok. tysiąca) powinniśmy wyłowić z mgły zapomnienia i opracować. Jedynie ta droga zbliżyć może do nas Jana Dantyszka.

Oryginalna twarz jego nadawałaby się pod pędzel Van Eycka lub Roger van der Weydena, którzy świetnie oddaliby wielkość ducha tak niezwykłego, jakim był ten humanista polski. Znamy jego portrety z medala i z dwuch współczesnych miedziorytów. Poznajemy go jako dojrzałego człowieka. Charakterystyczny dla uczonych beret, przykrywa wysokie czoło i siwe, bujne włosy. Duże i patrzące na świat otwarcie oczy obejmują piękne łuki brwi. Te oczy dominują w całej twarzy, charakteryzują ją. W nich odbija się zaduma nad przeszłymi i obecnymi czasy. Zaciśnięte i mocno zwarte usta świadczą o charakterze silnym i zdecydowanym. Złoty krzyż i brewiarz, trzymany w rękach, zamykają nam portret biskupa warmińskiego.

Należał on do ludzi twórczych, chociaż ruchliwe życie dyplomaty i później duchownego często go odrywało od spokojnego warsztatu pracy. Może stąd tłumaczy się, że sam zaniedbał swoją literacką spuściznę, lecz Hozjusz, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń, otaczał troskliwą opieką jego prace. Dzięki temu przechowały się one w języku łacińskim, jak je autor napisał. Niektóre z nich przełożył na język polski Syrokomla, Harhała i Ganszyniec. Znane są również tłumaczenia w języku niemieckim.

Poezje Dantyszka wynagrodził ongiś cesarz, uwieńczając wawrzynem poetyckim 31-letniego gdańszczanina, pierwszego z Polaków poetę w r. 1516.

Wśród pozostałych utworów cenimy przede wszystkim jego hymny. Do pisania ich czerpał natchnienie z przepięknego tekstu brewiarza. Dał w nich świadectwo najgłębszych wzruszeń religijnych, jakie potrafił przeżyć, mając za sobą bujne życie. Duch pokory podyktował mu życiorys oraz dwa nagrobki:

„Już lat sześćdziesiąt i trzy nastało,
Jakem na ziemię przysłany w gości —.
Fatalną chwilę czuje me ciało,
Co bywa wielu kresem wieczności.
Gdy i mnie niebo powołać może,
Niech się w tych słowach wiek mój ogarnie:
Długom się bawił na królów dworze,
Byłem pasterzem dwojga owczarnie;
Dziś leżą w ziemi me kości stare,
Niech dusza w niebie szczęścia nie traci!
Życz mi przechodniu, a w takąż miarę
Twoja potomność tobie wypłaci."

(Tłum. Władysława Syrokomli)

Opiewał też swe miłosne przeżycia. Wiemy że hołdował Bachowi i Wenerze ale w późniejszych latach swego życia skarżył się, że zmarnował lata młodości i tęsknił, marzył za lepszym, za spokojnym życiem uczonego i poety. Tym samym uczuciem tłumaczy się jego troskliwa opieka, jaką otaczał młodzież Wybrzeża. Chciał ją uchronić od błędów, jakie sam popełnił podczas młodości.

Najpopularniejszym powinien być jego utwór: „Jonasz Prorok o zniszczeniu Gdańska", w którym pod postacią proroka Jonasza gromi pychę, bezbożność i zbytek swego rodzinnego miasta, nawołując do skruchy, a zwłaszcza do zachowania wierności dla Polski. Ze swym rodzinnym miastem nie mógł się pogodzić. Zatargi miał z nim w związku ze sprawą spadkową i później na tle moralnym. Patrząc okiem dojrzałego człowieka i biskupa katolickiego na dobrobyt i pychę oraz na bezbożność i szerzący się protestantyzm, poczuł się, jak Jonasz, prorokiem, który w rozkazania pańskim zapowiada bogatemu miastu upadek i całkowite zniszczenie. Dziś, prawie czterysta lat później, gdy, chodząc po gruzach, szukamy słynnych ongiś zabytków tego miasta, jesteśmy świadkami wielkiej wizji Dantyszka, uwieńczonej w słowach proroczych:

„Złamią się twoje baszty jako domy
z karty,
Gdańsku! jękniesz boleśnie z twych bogactw odarty".

Pokusił się poeta na podobne proroctwo, gdy jako biskup Heilsbergu napisał poemat o Gdańsku, zapowiadając w nim straszliwy los, jaki to miasto ma spotkać: Rozwalą i zburzą je wojenne szeregi; ten gad, co żywe dziecko zjadł, połknie go; opuszczają go przyjaciele; rozpływają się pieniądz i dobrobyt; kara boska niszczy całe miasto. Poemat ten był znany i przepisywany w języku łacińskim, a także niemieckim.

Dantyszek dbał także o wychowanie młodzieży: zakładał szkoły i popierał zdolnych Polaków, wysyłając ich kosztem własnym zagranicę na studia. Założył w swej rezydencji biskupiej, Heilsbergu, centrum nauki i sztuki. Miał wspaniałą bibliotekę, galerię obrazów, bogate zbiory numizmatyki, instrumentów astronomicznych, mapy, globusy. Zatrudniał poetów, malarzy, medalistów.

Przy tym wszystkim był dobrym Polakiem. Wychował się pod wpływem kultury polskiej, zasadnicze elementy jej przyswoił sobie na dworze królewskim. Jako prawdziwy Polak walczył konsekwentnie z panoszącym się germańitwem, tak nielojalnym wobec spraw polskich a obrażającym według Dantyszka — nawet Pana Boga. Przedstawił to tak plastycznie, że niemieccy „przyjaciele" go opuścili. W poemacie **„In exercitum Germanicum Polonos fugientem"**, który napisał w r. 1520, (o klęsce wojska niemieckiego), szydził z najeźdźców, ukaranych za swą butę przez sprawiedliwego Boga. Parę lat później bronił stanowisko Polski w sprawie pruskiej i doradził królowi wcielenie bezpośrednio do Polski ziem zakonnych. Przekonywał króla Ferdynanda, że nie wszystkie miasta Hanzy podlegają Rzeszy, gdyż założone były przez Wandalów, którzy mówili po polsku, jak dziś Łużyczanie. Stał niezłomnie na gruncie polskiej racji stanu w sprawie Opola i Racibora, a w memoriale przedłożył cesarzowi i udowadniał odwieczne prawa Polski do Pomorza i Prus: **Prussiam semper subfuisse regno Poloniae.** Jako dyplomata rozsławił imię Polski w starym i nowym świecie; jako poeta zadokumentował swoją polskość w **Epithalamium reginae Bonae** (1536), w jednym z najcelniejszych swych utworów (679 heksametrów), w którym przedstawia w apoteozie Polskę Zygmuntowską, sławiąc oręż polski i bohaterstwo jej wodzów.

Są to fakty, zasługujące na szczególną uwagę, gdyż w tych posunięciach zdradził więcej odwagi i stanowczości, aniżeli inni.

Był dumnym, że był Polakiem. Nazwał siebie „prawdziwym sarmatą". Był to patriota o światowej sławie i światowym widnokręgu, o niezwykłym talencie i zdolnościach wszechstronnych.

Jego kult i aktualność stają się prawdziwym żywiołem dla wszystkich, którzy jak nasz gdańszczanin — wierzą i niestrudzenie bronią praw polskich do Bałtyckiego Pomorza.

Tibor Csorba



STARY GDAŃSK

Wojciech Bąk

NOWE WIERSZE*)

* * *

Kto w długie noce tak jak ja
Drążył boleśnie nocy dna
I wywoływał rzeczy dźwięki —
Oddźwięczał zmysłom nocy mur —
I nagle z poza muru chór —
Radosny śmiech, bolesny jęk...

Dalekie stało mi się bliskie —
I nagle zadzwoniło wszystkiem —
Napływa w żyły rzeczy krew —
I czuję: krew się w ciało wlewa —
I tętno ziemi we mnie śpiewa —
I w ustach wielki śpiew!

To ziemi naprężone gardło
W mych ustach dźwięcznie się otwarło —
I nie ma mnie — i nie ma mnie!
I tylko zamroczone oczy
I śpiew, co z ust się moich toczy
I poprzez ciało wichrem dmie...

I są ogrody i pogody
I burze są i deszcz i chłody
I krzyk żniwiarzy — rosy łza —
Gałęzie są — i ptak szczebiocze —
Południa są — wieczory — noce
I liście w cieniu z światłem gra —

I lata głodu, zimy więzień —
I konający w lęku rzęzi —
I śnieg na dachy miasta spadł —
I armat huk — i jęk — płomienie —
I zmarli — i nienarodzeni —
I gwiazd majestatyczny ład —

I ty, co stoisz w burzy głosie
I czujesz: oto słowa niosą
W twe żyły wszystkich rzeczy krew —
Dalekie staje mi się bliskie
I bije krew twa nagle wszystkiem —
I śpiew, wysoki śpiew!

* * *

Ja drogo zapłaciłem za te kruche nuty —
To cały łup wojenny — błahy wiew melodii
I nie zwiększy się radość, nie zmniejszy się smutek
Od śpiewu, który zabrzmiał niż powiew łagodniej.

Nie będą bujniej rosły kwiaty ani trawa,
Żniw o ziarno bogatszych do stodół nie zwiozą ..
Dziwna jest mego śpiewu powikłana sprawa...
To drobny człowiek bronił się śpiewem przed grozą.

A groza była góra, co się wali w skałach,
A śpiew był wiotki — wątłą wznosił dziecka rękę!
Lecz ta słaba dłoń górę grozy zatrzymała —
I chwalę moc, co góry grozy wstrzyma dźwiękiem!

* * *

To kłamstwo, żem jest rzeką złotą o zachodzie,
Gdzie w wiklinach usnęły wśród obłoków łodzie.
To kłamstwo, że nadchodzą konie słońcem złote,
By w sercu mym uciszyć warg drżącą spiekotę.

To kłamstwo, że nadeszły już do wodopoju
I kopytami we mnie, a nie w rzece stoją.
To kłamstwo, że dech nagle mój spokój zamąca
I pysk koński me fale łagodnie potrąca.

To kłamstwo — Ale serce moje się rozlewa
Falami rzeki, niosąc obłoki i drzewa —
I wiatr — nie wiatr — lecz wargi drżą końskie w mej fali
I nozdrzy oddech ciepły raz bliżej — raz dalej...

I kołyszą się we mnie wśród obłoków łodzie,
I sitowie zaszumi i nagle jaskółka,
Tnie mnie dzióbkiem, nade mną kreśląc lotem kółka
I księżyc we mnie wschodzi w tym dziwnym zachodzie.

W tym zachodzie: gdy głodne i spragnione konie
We mnie brodzą i w rzece, gdzie już księżyc płonie
I płonące na falach obłoki i drzewa
We mnie drżą i w tej rzece, co mym śpiewem śpiewa!

* * *

Ja północe rozdrapuję do blasku,
Ja rozpacze drę do wiary dna —
W słowach moich brzmi nadziei łaska
W wieku, który tylko rozpacz zna.

Ja łzy słowem przemieniam w promienie,
W uśmiech szczęścia zmieniam nocny jęk.
W gwiazdy nagle prześwietlone cienie,
W wiarę krew, a w męstwo zimny lęk!

Z huku armat w śpiewie biją źródła,
Z których dziecko czyste może pić —
I zaczyna każdy wiersz jak studnia
Tętnem ziemi uroczyście bić.

Ja widziałem rzeź i zgon narodów,
A w mym słowie taki uśmiech trwa —
Jakbym nie znał konania i głodu,
Obcy mroźnej grozie mego dnia.

Jakbym znał tylko maje i kwiaty
Jabym znał tylko radość i śpiew —
Jakbym znał tylko słońce nad światem
I radosny poszum cichych drzew.

Tylko tęcze! Tylko gwiazdy! Tylko łuki
Patetycznych, triumfalnych bram —
Uśmiechnięty uśmiechem sztuki
Ponad wiekiem rozpaczy trwam!

*) Fragmenty z mającego w najbliższych dniach ukazać się zbioru poety pt. „Syn Ziemi".

Bogdan Zakrzewski

KSIĄŻKA NAJBARDZIEJ POLSKA

Na posiedzeniu jury nagrody „Odrodzenia", po wyeliminowaniu kilku kandydatur, pozostał Breza i Żukrowski. Spośród sporej ilości powieści, jakie ukazały się po wojnie, wyróżnienie tych dwóch autorów, postawienie ich na miejscu naczelnym, daje gwarancję ich wartości. Sądząc z przemówienia członków jury, sprawa pierwszeństwa wywołała dyskusje i sprzeciwy. Zwyciężył ostatecznie Breza, choć Maria Dąbrowska niedwuznacznie podkreśliła: „Do ostatecznego rozwiązania weszły dwie książki, różniące się między sobą nie wartością, nie poziomem swych wartości artystycznych, ale jedynie rodzajem tych wartości, rodzajem literackim i tzw. klimatem artystyczno-duchowym autora". Zanim cokolwiek dobrego i złego powiem o tej książce Żukrowskiego ,zanim odsunę ją od siebie, jak coś co się pokochało bezkrytycznie, pierwszym przeżyciem, pierwszym impulsem, niech mi wolno będzie zamanifestować mój bezpośredni do niej stosunek. Książek o podobnej tematyce przeczytałem sporo. Jednak żadna z nich nie rzuciła takiego uroku, tak niezatartego wrażenia. I słusznie Wilhelm Mach napisał o niej poprostu: „Książka „Z kraju milczenia" jest piękna" *).

„Gdy klękam do wieczornej modlitwy i ukrywszy twarz w dłoniach wspominam poległych, drżenie przebiega ciało. Tak niewielu nas pozostało". Autor zaczyna swe żarliwe przedsłowie litanią zmarłych towarzyszy walk. „Ale nim wyrok zapadnie, chcę was dobyć z ukrycia, wyłowić z zastygającej ciemności — chcę was ukazać takimi, jacy byliście". „Kwitnące krzyże" kraju milczenia mają moc niezatartą, jak stygmaty, jak wypalone znamiona. Pełno ich na ziemi ojczystej i pełno ich na niebie. I one wiodą ku wolności, ku zmartwychpowstaniu! Przedsłowie, sugestią modlitwy wprowadza od razu czytelnika w odpowiedni nastrój, urzeka prostotą, zmusza do wspomnień. I w tymże przedsłowiu zamknął autor cały sens swej książki: „O ziemio, osłaniaj! Ilu ci jeszcze potrzeba dowodów miłości? Do Ciebie się modlę, ziemio, Twój syn. Ciało moje, krew moja i miłość do Ciebie należy. Przez Ciebie drugiej ojczyzny dosięgam — ku której tamten pochód zmierza — ostatniej naszej, niebieskiej. Do niej się dusza niesyta wydziera. Ku Tobie ciało ciąży". To przyciąganie ziemskie i niebieskie, jak je nazywa Wilhelm Mach, mające swój odpowiednik w „kawaleryjskości" i „szkaplerzności", w „czerepie" i „duszy" — stanowi główny zrąb ideologii Żukrowskiego. Po szczegółowym omówieniu jej w recenzji Macha, nie ma powodu do ponownego dokumentowania i interpretowania tej kwestii. A jeśli chodzi o ową „szkaplerzność" pojętą przez Macha jako „cecha wtórna świadomie przez „bohatera" wypracowana, nie spontaniczna i konieczna, lecz intencjonalna i programowa" (z sądem tym polemizuje w sposób nieprzekonywujący Hanna Malewska), uważam, że zachodzi tu pewne nieporozumienie, któremu przecież sam Żukrowski zapobiega. Każdy z bohaterów książki jest silniej związany witalnym instynktem z miłością ziemi, niż z pragnieniem nieba, choć to ostatnie siłą rzeczy zjawia się najnaturalniej „in periculo mortis". Jest to biologiczna postawa autora, postawa żołnierza dalekiego od głębokich refleksyj na temat „przyszłej

*) Wojciech Żukrowski, Z kraju milczenia. Opowiadania, Spółdz. Wyd. „Czytelnik" 1946.



„ORFEUSZ" ANNY ŚWIRSZCZYŃSKIEJ (PRAPREMIERA) NA SCENIE „TEATRU ZIEMI POMORSKIEJ" W TORUNIU, W REŻYSERII W. HORZYCY, Z DEKORACJAMI L. TORWIRTA

Anna Świrszczyńska

ORFEUSZ I PERSEFONA

FRAGMENT II AKTU SZTUKI PT. „ORFEUSZ"

HADES. SALA TRONOWA PERSEFONY.

PERSEFONA: Czego żądasz?

ORFEUSZ: Oddaj mi żonę moją, Eurydykę.

PERSEFONA: (wstaje z tronu): Czy wiesz, gdzie jesteś? To jest ostateczne dno. Korzeń świata. Stąd wyrasta drzewo trzech potęg: piekielnej, ziemskiej i niebieskiej. Tu postawili mnie, abym strzegła ich praw, wpierw uczyniwszy głuchą, ślepą i pełną wściekłości, jak psa, co pilnuje skarbu pana. Czy widzisz tę czarną skałę? Oto jest księga w kamieniu. Na niej alfabetem bogów wypisali wyrok: Posłuchaj:

Jak cień sprawia, że światło błyszczy,
tak śmierć sprawia, że istnieje życie,
Jak cień sprawia, że światło błyszczy,
tak trwoga sprawia, że istnieje śmiech
I póki będzie życie, będzie lęk.
I póki będzie życie, będzie męka.

... I cóż — nie mówisz nic, Orfeuszu?

ORFEUSZ: Czemuś mi to pokazała? Walczyłem, a teraz stoję tutaj bezsilny i zawstydzony. Bo nie dlatego wdarłem się przez bramę piekieł, aby rozsadzić tę skałę. Bo przyszedłem tu nie po zbawienie wszystkich, ale po jedną duszę, po jedną kobietę, po jeden cień...

PERSEFONA: Buntowniku, słyszałam twój śmiech przed bramą. Śmiech, który sprawił, że po raz pierwszy brama ta otwarła się przed istotą żywą. I powiedziałam sama do siebie: Oto idzie człowiek zuchwały. Popatrzę w oczy człowieka zuchwałego. Oto idzie bluźnierca.

ORFEUSZ: Cóż ci do śmiechu człowieka. Cóż ci do mego buntu. Ty jesteś z rodu bogów.

PERSEFONA: Potępiona wśród bogów, jak ludzie są potępieni wśród stworzeń. Kto wie, może nieraz siedząc tu na tym tronie, czując na piersiach ciężar tego sklepienia, na którym spoczywa piekło i wyżej ziemie i Olimp — marzyłam o chwili, kiedy usłyszę taki śmiech, jak wygnaniec marzy na obczyźnie o spotkaniu drugiego wygnańca.

ORFEUSZ: Osobliwe to słowa. Ale ja muszę pamiętać, że jesteś podstępna.

PERSEFONA: Zły masz słuch, Orfeuszu, jeśli słyszysz w tym podstęp. Być może nieprędko zdarzy się chwila, gdy będę tak szczera, jak teraz, a nawet — sentymentalna. Skłonność do zwierzeń — nie podejrzewałam sama siebie o podobną słabość. Zresztą wyznania królowej piekieł mogą być ciekawe (zamyśla się). Zabawna rzecz, jak roztargnieni są niebianie. Kiedy los mój został rozstrzygnięty, kiedy porwana z wiosennych łąk Olimpu sprowadzono mnie aż tutaj, do tej czarnej sali, na ten tron — zapomniano podać mi w kubku wody letejskiej. I nikt nie wie, że ja wszystko pamiętam. Każdą zbrodnię, którą Ananke kazała spełnić, każdą karę, którą kazała zesłać. Kiedy u brzegów wody zapomnienia dusze zrzucają brzemiona win i cierpień, ja podejmuję je i chowam jak skąpiec chowa skarby w skrzyni. I czekam.

ORFEUSZ: Czekasz?

PERSEFONA: To największa tajemnica piekła. Raz Zeusowi przyśniło się coś złego. Nocą opuścił swój błyszczący pałac i zstąpił do moich bram. Nachylony nad ciemnością słuchał jak oddycha piekło. Ale nie usłyszał nic. Nie usłyszał mego czekania.

ORFEUSZ: Na co czekasz?

PERSEFONA: Jeśli jest istota pod gwiazdami, która się tego domyśla, tą istotą jest bluźnierca Orfeusz.

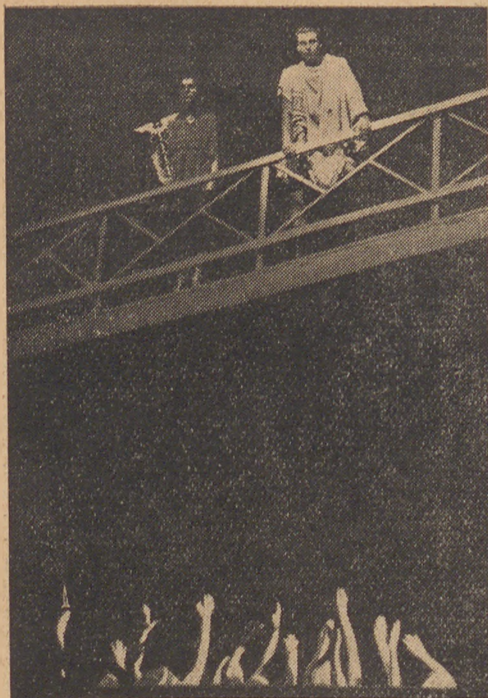
ORFEUSZ: Znam ten głos. Ktoś bardzo znajomy mówił takim głosem, a może mówił takie słowa.

PERSEFONA: Może ty sam mówiłeś je?

ORFEUSZ: Może ja sam. Ale teraz —

PERSEFONA: Teraz?

ORFEUSZ: Teraz jestem bardzo spragniony i na wszystkie sprawy świata patrzę przez mgłę swego pragnienia. I niewiele jest słów, które potrafię mówić. Oddaj mi żonę moją, Eurydykę.



NA ZDJĘCIACH: ŚMIERĆ EURYDYKI (AKT I-SZY) I ORFEUSZ W PIEKLE (AKT II-GI)

PERSEFONA: Biada mnie i tobie.

ORFEUSZ: Co to znaczy?

PERSEFONA: (po chwili milczenia): Eurydyka... Powiedz mi o niej. Musi być bardzo piękna, piękniejsza niż bogini skoro umiłowano ją bardziej, niż miłuje się boginię.

ORFEUSZ: Bardziej?

PERSEFONA: Bo ponad śmierć. I skoro dla niej mąż ziemski przeszedł wrota piekieł.

ORFEUSZ: Cóż ci powiem — była jak dziecko. Codzień usypiałem ją piosenką, którą się śpiewa dzieciom. Nie dosłuchiwała jej nigdy do końca. Zasypiała.

PERSEFONA: Głos ci się zmienił. Czemu mówisz tak cicho?

ORFEUSZ: Mylisz się, nie była piękna. Była tylko słaba. Zawsze bałem się, że umrze. To był jej czar — ta bezradność.

PERSEFONA: Głos twój stał się jak muzyka.

ORFEUSZ: Zabiłaś ją.

PERSEFONA: Czy bardzo mnie nienawidzisz?

ORFEUSZ: Nienawidzę cię.

PERSEFONA: Tam na ziemi mówią, że w sercu pani piekieł mieszka wściekłość bardziej śmiertelna niż wściekłość rozjuszonego słonia. Mimo to przyszedłeś.

ORFEUSZ: Tak.

PERSEFONA: Przyszedłeś bez trwogi.

ORFEUSZ: Kto ci rzekł, że przyszedłem bez trwogi? Kto nie ma przy sobie dzikiego zwierzęcia, nie może być nazwany pogromcą. Kto nie ma w piersi trwogi nie może jej ujarzmić. I nie może się śmiać przed bramą Hadesu.

PERSEFONA: Ujarzmiłeś własną trwogę I cerbera stróża piekieł. I przyszedłeś tu, by ujarzmić Persefonę. Bo myślałeś, że ona jest jak zwierzę. Że oczy jej goreją przez wieki nieugaszonym pożarem gniewu. I — że podejdziesz i spojrzysz w te oczy i sprawisz, że staną się wzruszone i miłosierne.

ORFEUSZ: Tak.

PERSEFONA: Zbliż się, popatrz, człowiecze. Oto moje oczy — są wzruszone i miłosierne. I oto powiem ci słowa, które chciałabym powiedzieć, które mi podpowiada moje wzruszenie i miłosierdzie. Królowa piekieł, zwyciężona twą wielką miłością oddaje ci małżonkę Eurydykę...

Anna Świrszczyńska

ojczyzny". Taka konstrukcja psychiczna przeprowadzona w opowiadaniach konsekwentnie nie razi bynajmniej sztucznością, ale jest typowa dla pewnych organizacyj psychicznych, nawet w stosunku do świętości ojca Pawła, czy księdza Czesława. Zapewne słusznie nazwie ją Wyka religijnością absolutnie tradycyjną, co jeszcze nie może dać powodu do narzekania na to, że tej tradycyjnej religijności w sterze literatury, z którą już dawno zerwali zagraniczni pisarze, należy się wyzbyć na gwałt i przenieść w „dziedzinę motywów wewnętrznych, szperactwa duchowego, roztrząsań u dna psychiki". Zejście do motywów religijnych nawet w takim opowiadaniu jak „Kantata" nie jest wyłącznym wkroczeniem w tematy religijne. One stanowią tylko nadbudowę, nadbudowę całkiem harmonijnie i naturalnie dostrojoną do całości opowiadań. Nie można więc mówić o doczepionym talizmanie, o sztuczności znaków i gestów religijnych. „Tak bym się tu jeszcze przydał — szepce umierający ksiądz Czesław — tyle roboty... — Potem, jakby ta myśl wydała mu się przeciwna Opatrzności, dodał pokornie: — Panie, Ty wiesz...".

I może dla tego właśnie książka ta staje się tak bliską dla przeciętnego czytelnika. Droga, jaką przebył autor ze swymi „bohaterami" jest nawskroś sarmacka i początek swój wywodzi, jak to zaznaczył Mach, od apokryfów średniowiecznych poprzez Reja, Paska i Sienkiewicza. Sarmackość książki rysuje się najwyraźniej w dwóch pierwszych opowiadaniach, które uważam za najlepsze w całym zbiorze, bo wyjęte spod serca, spisane jakby na gorąco w ogniu walk wrześniowych.

Wydawało by się, że po Trylogii Sienkiewicza, „batalistyczny sarmatyzm" nie nabierze już rumieńca tak żywego i przeminie wraz z malarstwem Brandtów, Kossaków. Dziwnym trafem podczas czytania książki Żukrowskiego miałem sposobność oglądać podłe zresztą jeśli chodzi o wartości czysto malarskie płótno Jerzego Kossaka — Szarża ułanów na tanki niemieckie. Tematyka, która zawiodła Kossaka, tak pod względem artystycznym jak i kompozycyjnym ma swój odpowiednik w opowiadaniach: „Przed furtą" i „Lotna". Apoteoza ułańskości u Żukrowskiego podana w bezpośredni i sugestywny sposób, stwarza wrażenie, że autor wespół z czytelnikiem zajmują bezkrytyczne stanowisko wobec smutnych i bohaterskich wyczynów ostatniej skrzydlatej husarii, na którą nacierają stalowe cielska czołgów nieprzyjaciela i samoloty. Jeszcze krok, a apoteoza przemieniłaby się w romantyczną apologię. Kossak nie dysponuje tak doskonałymi środkami artystycznymi i staje się naiwny, bezwiednie szyderczy i okrutny. Żukrowski uniknął tego, ba na owe wypadki spojrzał nie z perspektywy obserwatora chłodnego, lecz opisał je jak żołnierz związany z ziemią, o którą walczy, pełen fantazji, junactwa, jurności, witalnego optymizmu i ślepoty. A jednak ta urzekająca magia słów nie miała w całej rozciągłości odpowiednika w wrześniowych bojach. Fatalny anachronizm, mający miejsce w 39 r. jest właściwy psychice ułańskiej, jaką reprezentuje autor, a nie ówczesne społeczeństwo. Choć tkwi on w nas ciągle podświadomie w dziedzicznym obciążeniu. Nie możemy się więc oprzeć ,aby nie podziwiać go, zachwycać się i wyrywać ku niemu. „Gdy w świeżości poranku poczułem między udami twarde rzemienie siodła i sprężyste boki klaczy, przepadły wszystkie nocne strachy... Przypinaliśmy do mundurów te astry, amarantowe ze złotymi okami, a cały pęk Wodnicki rzucił na wóz Ewie. Płonęły tak bezwonne, jesienne, póki nie zgasił ich kurz dymiący spod kopyt... Teraz radość walki, chełpliwe poczucie siły, rozbudzone zwycięską potyczka, zapieniło na wargach piosenkę. — Ułani, ułani, malowane dzieci..." Kto był w kampanii wrześniowej i tułał się od rozbitych grup piechoty po resztki „malowanych ułanów", ten odróżnił prawdę od złudy, brawurę od tchórzostwa, a przede wszystkim znajdzie więcej miejsca dla prawdziwego bohaterstwa. Ułańskość Żukrowskiego wyrażą się także w wielkim przywiązaniu do konia. Niestety koń ten, jak już zaznaczyła Malewska, potraktowany jest po literacku. „Kochane koniska... Moja Wrona w białych pończoszkach, ze strzałką na rozumnym czole. Lotna: klacz raczej drobna, o cudnie wygiętej szyi, oku ognistym i ogonie pełnym fantazji".

Drugi cykl opowiadań związany tematycznie z wypadkami po 39 roku nie wywołuje wrażenia autentyzmu, bezpośredniości opisywanych wypadków. Znać tu wyraźny wysiłek komponowania oraz technicznego przeprowadzenia opowiadania (sztucznie podtrzymywany dialog w „Kantacie" i literackie jej zakończenie, nagłe, choć może celowe załamanie się wątku Stefana w „Przebiegu", wątku wkomponowanego dość sztucznie). Ostatnie opowiadanie „Czysta robota", gdyby w szczegółach nie określało czasu trwania akcji, niczym by się nie różniło od poprzednich opowiadań, dalekich dniom ostatecznej klęski Niemców. W atmosferze tego opowiadania nie wyczuwa się jak stwierdził Wyka „dusznej i skomplikowanej... ostatniej jesieni wojennej", choć Żukrowski stara się to naprawić drogą opisu: „Pod deszczem słyszało się, tuż nad ziemią niósł się pogłos dalekiego frontu. Armaty gadały bliżej. Czuł głęboką radość. Podał twarz nawierającej fali deszczu. Ten głos, ze wszystkich, które nawiedzały go dotąd, był najbardziej wróżebny". Sugestia stylu opowiadań i ich poetyczność zacierają niektóre braki.

Styl Żukrowskiego, przypominający pod pewnym względem Sienkiewicza, a więc pozornie tradycyjny, konserwatywny, wnosi jednak wiele nowych pierwiastków ożywczych. Miejscami pozbawiony klasycznego spokoju, daje się uwieść żarliwej i płomiennej poezji słów. Jasny, prosty i przejrzysty, daleki od nowatorstwa stylu Brezy, urzeka świeżością notowanych bezpośrednio wrażeń i stanów, wyrażonych w skojarzeniu słów zaskakująco trafnych. Wilhelm Mach zanalizował go szczegółowo, zwracając uwagę na szczególne „uczulenie" autora na zjawiska świetlne, barwy, zjawiska kształtu, ruchu, smaku, zapachu i inne, a w najmniejszym może stopniu na wrażenia słuchowe. „Stada drobniutkich rybek śmigają, jakbyś garścią iskier miotał... Żółte krzewy latarń odskakiwały po bocznicach... Deszcz jeszcze szył z ukosa długimi szklanymi strzałami, które w nadlatującym słońcu zapalały się tęczowo... topole krzyczały, ulatując w wichurze, a błyskawice prószyły siwym światłem... zagony podpływały miękko pod klekoczące żelaza gąsienic..." Cytaty zorientują, jak prostymi zdawałoby się skojarzeniami słownymi uzyskuje autor niezwykły i niezawodny resonans. I to osiągnięcie debiutującego autora jest bezsprzecznie sukcesem, warunkującym między innymi powodzenie książki. Są i nieliczne potknięcia w słownictwie, niewłaściwości gwarowe: „Tak dziś ciągnie od pola" — odezwie się wysiedlona z Poznania Anna.

Książka Żukrowskiego jest książką o zwycięstwach — tak ją nazwała Hanna Malewska, wywodząc jej ideologię zwycięstwa z tradycji sienkiewiczowskiej. Ta ideologia zwycięstwa zamknięta została okresem walki o wolność, okresem, który zaświadczy zawsze o naszej niezniszczalności narodowej. Debiut Żukrowskiego rokuje nie tylko duże nadzieje na przyszłość, ale po części już je realizuje.

Bogdan Zakrzewski

Konrad Górski

SZTUKA JAKO WYRAZ *)

Dzieło sztuki jest wprawdzie przedmiotem fizycznym, podobnie jak dowolny produkt rzemieślniczy lub fabryczny, ale przez to, że jest realizacją piękna, staje się wyrazem pewnego wytworu duchowego. Innymi słowy — sztuka jest wyrazem. W tym tkwi jej sens, jej życiowe uzasadnienie, jej potrzeba. To również decyduje o wewnętrznej strukturze każdej sztuki, o jej formach, rozwoju i żywotności. „Siła twórcza artysty — powiada słusznie Hausegger — polega na zdolności posługiwania się środkami sztuki w ten sposób, by można je rozumieć jako wyraz i przenosić za pomocą nich na drugich pewne stany psychiczne". Okresy rozkwitu lub zastoju jakiejś sztuki ściśle odpowiadają okresom funkcjonowania jej jako wyrazu. Znaczenie Bacha w dziejach muzyki widzi tenże Hausegger w fakcie, że jego twórczość była wskrzeszeniem wyrazu. Bach uświadomił sobie, że źródłem powstania dźwięków muzycznych nie jest struna, ani drzewo, ani blacha, lecz ludzka krtań, wobec czego głosy winny się kształtować nie według oderwanych praw kontrapunktyki, lecz według wewnętrznej potrzeby jako śpiew, jako melodia. Skoro obudził się zmysł dla melodii, wyłoniło się wraz z nim zrozumienie, że twórczych sił muzycznych należy szukać w potrzebie uzewnętrznienia duchowego wyrazu, nie zaś w samych tylko kombinacjach dźwiękowych. W miarę, jak tony stawały się wyrazem uczuciowym i świadectwem stanów wzruszenia, poczęły odgrywać w nich decydującą rolę prawa, które obowiązują przy wydobyciu głosu z krtani. Tak zbudowano pomost do ludzkiego serca, odnalazłszy związek uczuciowy z tonami i poddawszy organizm muzyczny pod prawa muzycznego wyrazu. Dźwięk upiększony przez instrumenty stał się w melodii tym, czym był pierwotnie — ludzkim śpiewem.

Sztuka jest zatem uzewnętrznieniem ludzkiego ducha, jego wytworów, za pomocą określonych środków, które pełnią rolę znaków przekazujących pewną treść. W dziele sztuki można wyróżnić całą drabinę owych znaczeń przekazywanych za pomocą środków artystycznych danej sztuki. Weźmy np. obraz malarski. Pewne linie i barwy na nim służą jako znaki dla obudzenia w nas określonych wyobrażeń elementarnych, postaci czy przedmiotów; jest to pierwszy szczebel funkcjonowania środków artystycznych jako znaków. Dalej owe wyobrażone przedmioty czy postaci ze sobą w pewnym stosunku, są związane jakąś zachodzącą między nimi akcją czy sytuacją; ustalenie i zrozumienie owego stosunku będzie stanowić drugi szczebel przekazanego za pomocą sztuki znaczenia. Następnie odkryta przez nas treść obrazu może objawiać nam nową perspektywę znaczeniową przez skojarzenie jej z jakąś fabułą znaną nam skądinąd. Dajmy na to mamy przed sobą obraz, na którym widzimy łódkę na jeziorze, na łódce pełnej ryb siedzi u dziobu mężczyzna z ręką wyciągniętą jak do błogosławieństwa, przed nim klęczy z rękoma złożonymi jak do modlitwy inny mężczyzna, za tym ostatnim stoi trzeci mężczyzna z rękami szeroko rozłożonymi gestem bezradnego zdumienia i uwielbienia, wpatrzony w postać siedzącą na dziobie; na drugim planie widać inną łódkę, na której znajdują się znowu trzej mężczyźni, dwaj z nich wyciągają sieci pełne ryb. Tak przedstawiają się główne fragmenty kartonu Rafaela **Cudowny połów ryb.** Otóż dla kogoś, co nigdy nie zetknął się z historią ewangeliczną, rozpoznanie treści obrazu musiałoby się zatrzymać na owym drugim szczeblu znaczenia, tj. na ustaleniu zewnętrznej sytuacji odtworzonych postaci i przedmiotów. Ale dla znających dzieje Chrystusa otwiera się z chwilą skojarzenia rozpoznanej na obrazie sytuacji z historią cudownego połowu ryb nowy szczebel znaczeniowy: ustalenie właściwego sensu przedstawianej sytuacji. Ale z chwilą odkrycia tego ostatniego znaczenia wstępujemy na dalszy szczebel: ta sama sytuacja historyczna może być przedstawiona przez różnych malarzy, sposób jej przedstawienia na danym obrazie przynosi indywidualną interpretację odtworzonego faktu przez danego artystę. Interpretacja ta może się wyrażać zarówno w swoistym pojmowaniu duchowej strony przedstawionej sytuacji, jak i w oryginalnym rowiązaniu zagadnień artystycznych, wynikających ze sposobu jej przedstawienia. Ustalenie i rozumienie owej interpretacji jest równoznaczne z osiągnięciem nowego szczebla znaczeniowego. Ze swej strony wymieniona interpretacja odkrywa przed nami stosunek autora do świata w świetle takiej, nie innej interpretacji danego faktu i to jest ostatni najwyższy szczebel znaczeniowy, który w miarę swego bogactwa i rozległości ideowej może się w poszczególnych wypadkach rozszczepić na szczeble jeszcze wyższe. Tak więc w dziele sztuki da się wyróżnić cała hierarchia znaków i znaczeń (treści) przy czym to, co było treścią na niższym szczeblu znaczeniowym, staje się znakiem dla wyższej treści. Można to przedstawić za pomocą następującego schematu, w którym treść (znaczenie) na stopniu pierwszym nazwiemy przedstawieniem elementarnym, na drugim sytuacją zewnętrzną, na trzecim — fabułą, na czwartym — interpretacją, na piątym — ideą.

Szczebel znaczeniowy:	Znak:	Znaczenie (treść):
I.	Elementarne środki wyrazu danej sztuki (linia, barwa, słowo, ton)	Przedstawienie elementarne
II.	Zespół przedstawień	Sytuacja zewnętrzna
III.	Sytuacja zewnętrzna	Sens sytuacji albo fabuła
IV.	Sens sytuacji (fabuły)	Interpretacja
V.	Interpretacja	Idea

Schemat powyższy da się zastosować w całości tylko do sztuk, które by można nazwać przedstawieniowymi (malarstwo, rzeźba, częściowo poezja, teatr), podczas gdy przy stosowaniu go do sztuk formalnych (architektura, muzyka, taniec) musiałyby być wprowadzone pewne odmiany, ale do wszystkich sztuk bez wyjątku da się zastosować obserwacja, że w dziele sztuki istnieje owa hierarchia znaków i znaczeń, przy czym treść znaczeniowa danego środka artystycznego staje się z kolei znakiem dla przekazania wyższego szczebla treści.

Wobec tego, że sztuki takie, jak poezja, malarstwo, czy rzeźba, operują przedstawieniami zaczerpniętymi z otaczającej nas rzeczywistości wyłania się zagadnienie, które do końca świata będzie związane z imieniem Arystotelesa, ponieważ on je po raz pierwszy sformułował i jego autorytetem popierali różni późniejsi filozofowie i estetycy bardzo ciasne i jednostronne rozwiązanie tegoż zagadnienia. Chodzi o stosunek sztuki do natury, o to, czy sztuka jest, albo w jakim stopniu jest naśladowaniem rzeczywistości.

Uparta i jednostronna interpretacja teorii Arystotelesa w tym duchu, jakoby on uważał sztukę wyłącznie za naśladowanie natury, utrzymująca się w dobie nowożytnego klasycyzmu (wiek XVII, XVIII), wywołana była nie tylko tym, że terminy **naśladowanie i naśladować (mimesis, mimeistai)** nieustannie wracają w wywodach **poetyki** Arystotelesa, ale i skutkiem następujących choćby wywodów filozofa:

„Naśladowanie jest ludziom przyrodzone od dzieciństwa i tym to różnią się oni od innych istot żyjących, że są najpochopniejszymi do naśladowania stworzeniami, że pierwszych wiadomości nabywają za pomocą naśladownictwa i że wszyscy cieszą się dziełami naśladowczymi. Dowodem na to jest i wrażenie, jakie w nas wywołują dzieła sztuki. Bo to, na co w rzeczywistości patrzymy z przykrością, to samo oglądane na obrazie w jak najdokładniejszym przedstawieniu sprawia nam radość, np. kształty najwstrętniejszych zwierząt i trupów".

Bez wątpienia pewien element przyjemności, wywołany przez sam fakt r o z p o z n a n i a składników rzeczywistego świata w artystycznym przedstawieniu, nie da się zaprzeczyć ani usunąć z całokształtu naszego przeżycia estetycznego. Zgadzają się z tym teoretycy sztuki czy poezji, których w żadnym razie nie możnaby posądzać o ciasny pogląd na sztukę jako naśladowanie rzeczywistości. Ale stwierdzenie owej przyjemności w całokształcie przeżycia estetycznego nie ogranicza roli sztuki do zwykłej kopii świata rzeczywistego. A co najważniejsze — sam Arystoteles tak nie myślał. Dla właściwego zrozumienia jego myśli stoi często na przeszkodzie ujemny sens uczuciowy, jaki wiążemy dzisiaj ze słowem **naśladować.** Gdy zestawić ze sobą niezliczone zastosowania terminów: **mimesis i mimeistai** w tekście **poetyki,** staje się rzeczą jasną, że Arystoteles mówi o naśladowaniu tam, gdzie my byśmy używali dzisiaj słów: **przedstawiać** albo **odtwarzać.** Następnie — jak to słusznie podkreśla Władysław Tatarkiewicz — naśladowanie nie jest dla Arystotelesa równoznaczne z prostym kopiowaniem. Uwzględnia on jako czynnik sztuki radość wywoływaną przez rytm i harmonię; dalej do teorii tragedii włączył naukę o **katharsis** nie mającą nic wspólnego z teżą o naśladownictwie; wreszcie podkreślając, że sztuki odtwarzają nie jednostkowe zdarzenia, lecz ogólne stany rzeczy („poezja jest bardziej filozoficzna od historii"), że stwierdzają nie to, co jest lecz to, co być może, wprowadzał do rzekomego naśladownictwa pierwiastki wyobraźni i twórczości.

Tak więc obrona Arystotelesa przed zarzutem, jakoby sprowadzał sztukę do niewolniczego naśladowania rzeczywistości, jest zbyteczna. Ważniejszą rzeczą, niż stwierdzenie, czego Arystoteles nie mówił i mówić nie chciał, jest wniknięciem w istotny sens jego odkrycia. Chodzi o to, że sztuka jest odtworzeniem jakiejś rzeczywistości, ale pytanie jakiej. Gdyby sztuka ograniczała się do kopiowania przedmiotów świata zewnętrznego, aby wywołać w nas jedynie radość z rozpoznania modelu w przedstawieniu artystycznym, wówczas mielibyśmy właśnie owo niewolnicze naśladowanie natury, którego Arystoteles nie chciał i nie nakazywał. Więc nie o tę rzeczywistość bezpośrednio dostępną zmysłom chodzi w teorii Arystotelesa, lecz o tę, w stosunku do której pierwsza jest tylko środkiem wyrazu, znakiem nie znaczeniem (treścią), szczeblem niższym w hierarchii znaczeń przekazanych za pomocą

*) Fragment z II-go rozdziału książki pt. „Poezja jako wyraz".

dzieła sztuki. Innymi słowy — chodzi o odtworzenie (Arystoteles powiedziałby „naśladowanie") tej rzeczywistości, która w hierarchii znaczeń dzieła sztuki stanowi szczebel najwyższy, ostateczny, nadający owemu dziełu istotny sens i cel jego istnienia. Składniki rzeczywistości zmysłowej są w rękach artysty tylko ośrodkami wyrazu i dla tego mogą być wyzyskane dowolnie bez względu na to, czy w odtworzeniu artystycznym całkowicie odpowiadają swym modelom w naturze, czy nie. Tu artysta jest najzupełniej swobodny w traktowaniu rzeczywistości bezpośrednio dostępnej zmysłom, na tym szczeblu znaczeń on nie naśladuje natury, lecz ją przekształca stosownie do własnych potrzeb. Ale jeśli chodzi o oddanie owej rzeczywistości duchowej, dla której rzeczywistość widzialna jest tylko ośrodkiem wyrazu, to gdy dzieło sztuki nie jest jej wiernym odtworzeniem, wówczas jest dziełem poronionym. A jeśli nie stawia sobie za cel takiego odtworzenia, to w ogóle nie ma racji bytu; jest zbytecznym kopiowaniem przedmiotów natury, pozbawionym jakiegokolwiek sensu.

Słowem postulat Arystotelesa, wyrażony pojęciami dzisiejszymi i językiem dzisiejszym, sprowadzi się do stwierdzenia, że dzieło sztuki musi być wiernym odtworzeniem wytworu duchowego, którego jest wyrazem. Dlatego Arystoteles powiedział, że poezja jest filozoficzniejsza od historii, bo przedstawia więcej to, co jest ogólne, a historia to, co jest szczegółowe, indywidualne. Historia odtwarza jakiś fakt dlatego tylko, że się naprawdę zdarzył, a poezja starając się oddać jakieś zdarzenie będzie je traktować jako objawienie pewnej zasady, pewnego ukrytego sensu tkwiącego w naśladowanej rzeczywistości. I właśnie ów sens jest rzeczywistością, która musi być oddana wiernie i prawdziwie, bo on jest zarazem jądrem krystalizacyjnym wytworu duchowego wyrażonego przez dzieło sztuki.

Tu może wypłynąć jeszcze jedno zagadnienie. Czy wystarczy postulat, że dzieło sztuki musi być wiernym odtworzeniem wytworu duchowego, którego jest wyrazem. A jeśli ów wytwór duchowy nie przynosi żadnej odkrywczej prawdy w odniesieniu do całokształtu rzeczywistości, w jakiej żyjemy, a przeciwnie jest nieświadomym lub świadomym jej zniekształceniem, jest omyłką lub kłamstwem, objawem słabości umysłu lub brzydoty moralnej, czy wówczas wierny wyraz takiego wytworu duchowego będzie spełnieniem postulatu Arystotelesa. — Jeśli tak, jeśli chodzi tylko o prawdę wyrazu i jeśli wyraz takiego bezwartościowego wytworu będzie dziełem sztuki, wówczas nasze sformułowanie rozminie się z intencją Arystotelesowskiej teorii. Jemu bowiem niewątpliwie chodziło o to, że sztuka winna być wyrazem czegoś, co jest w jakiś sposób rzeczywiste, co posiada jakiś byt, a więc jest w tym sensie prawdziwe. Odpowiedzią na to zastrzeżenie będzie teza, wynikająca nieuchronnie z tego, co mówiliśmy wyżej o pięknie [1], a mianowicie, że wyraz wytworu duchowego, który by nie przynosił żadnego odkrywczego momentu w dziedzinie ducha, albo był objawem umysłowej słabości czy moralnego skażenia, wyraz takiego wytworu, choćby najdoskonalszy, nigdy nie będzie posiadał cechy piękna, a więc nie może być dziełem sztuki. Tak więc sformułowanie, które podaliśmy, wystarcza, aby zadość uczynić intencji postulatu Arystotelesa. Reasumując powiemy, że istotnym sensem teorii uznającej sztukę za naśladowanie natury jest stwierdzenie następującego faktu: prawdziwe dzieło sztuki jest doskonałym (a więc pięknym) wyrazem wytworu duchowego, wartościowego ze stanowiska ideałów prawdy i dobra. W tym znaczeniu teoria owa będzie stanowiła jeden z kamieni węgielnych dla dalszych wywodów niniejszej książki.

[1] Życie Liter. nr 13.

Ciasne i zniekształcające pojmowanie teorii Arystotelesa, jako sprowadzającej rzekomo sztukę li tylko do naśladownictwa rzeczywistości widzialnej, wywołało reakcję już w starożytności. W obronie twórczych momentów w sztuce wystąpił Plotyn, którego stanowisko miało zapłodnić po wiekach umysły przeciwników nowożytnego klasycyzmu. Plotyn podkreślił, że „sztuki nie naśladują po prostu widzialnego świata, lecz sięgają do rozumnych wątków (logoi), z których się wyłania owa natura, i tworzą wiele same z siebie, albowiem jeżeli czemuś czegoś niedostaje, to uzupełniają te braki, gdyż są w posiadaniu piękna: wszak i Fidiasz wyrzeźbił Zeusa nie według zmysłowego wzoru, lecz dzięki temu, że pojął, jak wyglądałby Zeus, gdyby się nam zechciał objawić naocznie".

Myśl tę podjął i rozwinął w XVIII w. angielski filozof, estetyk i moralista Shaftesbury, ilustrując ją za pomocą mitu o Prometeuszu, jako stwórcy rodzaju ludzkiego. Jeśli Prometeusz ulepił z gliny ludzi, to stworzył formę nową, jakiej dotychczas natura nie znała, nie był więc naśladowcą rzeczy istniejących, lecz twórcą form nowych. W ten sposób wystąpił niejako w charakterze rywala najwyższego stwórcy Zeusa. Otóż i prawdziwy artysta jest zdaniem Shaftesbury'ego nie naśladowca, lecz twórca, jest „prawdziwym Prometeuszem poniżej i obok Jowisza".

To zestawienie prawdziwego artysty, jako samodzielnego twórcy z Bogiem-Stwórcą i użycie w tym celu postaci Prometeusza jako symbolu zapłodniło później umysły wielu estetyków, poetów i krytyków, znajdując na gruncie polskim może jedyne, ale przepastnie głębokie echo w improwizacji Konrada. Ale jako reakcja przeciw samemu Arystotelesowi wystąpienie Shaftesbury'ego nie miałoby wartości. Teoria Arystotelesa z jednej strony i stanowisko Plotyna i Shaftesbury'ego z drugiej strony to dwa wzajemnie dopełniające się oświetlenia zjawiska sztuki, jednakowo prawdziwe i jednakowo ważne. Nie ma między nimi sprzeczności żadnej. Sztuka jest twórczością, nie bezsensownym i bezdusznym naśladownictwem rzeczywistości widzialnej, ale jest tak samo wyrazem rzeczywistości duchowej. Gdyby takim wyrazem nie była, nie miałaby żadnej racji bytu. To też śladami Arystotelesa zawsze szli i będą iść ci wszyscy artyści i teoretycy sztuki, którzy się domagali prawdy w sztuce. Dla tych ludzi piękno jest nie tylko prawdą wyrazu, ale i wyrazem prawdy. *K. Górski*



T A D E U S Z   M O K R Z Y C K I
DRZEWA — OLEJ

Tadeusz Rokitniak-Chróścielewski

LESZEK BIAŁY I SMĘTEK

Książe krakowski w czasie kąpieli w jeziorze gąsawskim przez siepaczy odonicowych za poduszczeniem Brandemburczyków ubit.

Na mchu zielonym dzwonki pachnące.
Biegły koniki iskry krzeszące.
A książe nawet wcale nie patrzy
Na drzewa szumy niosące.

Gniecie go zbroja z złotych pierścionków.
Tam na niej orzeł bielszy od dzwonków.
Włosy na pancerz poopadały...
Znużony Leszek Biały.

U mchu cierpkiego u zielonego
Rój muchomorów zasiadł gęsiego,
A z najbliższego, najczerwieńszego
Wychodzi c o ś t a k i e g o.

Smętne i ciche, przy koniu stąpa
I szepce księciu, by się wykąpał
W szarej grabince, w złocistym stawie,
A białą zbroję ułożył na trawie.

Skoczył do stawu nasz Leszek Biały.
Trzciny się chwiały, lilie pływały,
Muszki nad głową przelatywały,
Faluje staw niemały.

A w las znajomi jacyś przybyli,
Łuki przynieśli, w wodę patrzyli...
Z lilią we włosach na brzeg wychodził...
Strzelili i trafili...

. . . .

Na mchu zielonym pancerz z pierścionków.
Tam na nim orzeł bielszy od dzwonków...
A do mucharu najkraśniejszego
Pomyka chyłkiem c o ś t a k i e g o.
I drży ze śmiechu wielkiego.

Miesiąc kulturalny

W KRAJU...

PRUS I SIENKIEWICZ

K. W. Zawodziński w cyklu artykułów o „stuleciu trójcy powieściopisarzy" (Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz), zamieszczonym w paru kolejnych numerach Odrodzenia ,wzywając do ponownego „rozejrzenia się w tak obszernym materiale, jakim jest ich twórczość, do ponownego jej odczytania, przemyślenia i przyzwoitego uzasadnienia sadu", konkluduje, że „nie jest to sprawą dająca się załatwić na kolanie, krótkim, indywidualnym wysiłkiem, ani też sprawą, mieszczącą się w ramach jednego artykułu w tygodniku". Jakoż powyższe słowa słusznej apostrofy zbiegły się z inicjatywą Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w Warszawie, które z okazji 60-lecia swego istnienia zorganizowało Zjazd Naukowo-Literacki im. B. Prusa, poświęcony dwu przedstawicielom „trójcy" pozytywistów: Sienkiewiczowi i Prusowi. Był to pierwszy po wojnie zjazd tego rodzaju w Polsce. Połączono go z otwarciem w salach Biblioteki Uniwersyt. wystawy poświęconej obu wielkim pisarzom.

FESTIWAL SZTUKI W LUBLINIE

W dni parę po „Dniach Torunia" (o których mowa obok) przeżywał Lublin intensywne, całotygodniowe święto kulturalne, w ramach którego skupiono wszystko najlepsze — na co miasto było stać. Festiwal Sztuki obejmował więc inaugurację Filharmonii Lubelskiej, otwarcie wystaw: plastyków, etnograficznej, bibliofilskiej, koncerty kameralne i zespołowe, otwarcie sezonu teatralnego („Pan Jowialski"), oraz szereg długi widowisk i wieczorów literackich, dramatycznych, choreograficznych — we wszystkim widoczny rzetelny, skoordynowany wysiłek ludzi dobrej woli.

W KULTURALNYM POZNANIU

„Hrabina" Moniuszki w nowej inscenizacji otworzyła sezon 1946/47 Opery Poznańskiej, sterowanej doświadczoną ręką dr Zygmunta Latoszewskiego. Zapowiedziany repertuar tej najpoważniejszej w Polsce opery zawiera szereg pozycji, świadczących o wysokich — jak na nasze możliwości — zamierzeniach: „Eugeniusz Onegin" Czajkowskiego, „Bolesław Śmiały" Różyckiego, „Harnasie" Szymanowskiego, „Caglistro w Warszawie" Maklakiewicza, „Swantewit" Perkowskiego, „Legenda Bałtyku" Nowowiejskiego, „Powrót" Koczalskiego, „Dafnis i Chloe" Ravela, — obok, ma się rozumieć, „klasycznych" oper, z Verdim i Puccinim na czele.

Równocześnie rozpoczyna Poznań cykl stałych koncertów symfonicznych. Fakt ten nie byłby może czymś nadzwyczajnym, gdyby nie zgórą pół roku, jakie dzieli nas od ostatnich koncertów Filharmonii Poznańskiej.

W TROSCE O NIEZALEŻNOŚĆ ŁUŻYC

Problem Łużyc niepodległych wywołuje coraz to nowe, gorące wypowiedzi na łamach prasy polskiej, podobnie również czeskiej. Ostatnio (w dniach 5 i 6 października) zespół naukowców i publicystów obradował w Poznaniu w ramach I Zjazdu Łużycoznawczego, zorganizowango przez Polski Związek Zachodni. W wyniku powołano do życia Radę Naukową do spraw łużycoznawczych, oraz, co ważniejsze, wysunięto konkretne wnioski dla praktycznego rozwiązania problemu.

DALSZE NAGRODY...

Do otwartej w ostatnim numerze „listy nagrodzonych" za zasługi na polu kultury artystycznej dodać możemy z dużą satysfakcją parę dalszych nazwisk: miasto Kraków odznaczyło Xsawerego Dunikowskiego, ostatnio laureata konkursu na projekt pomnika Powstańca Śląskiego (nagroda plastyczna), — województwo krakowskie — Jerzego Andrzejewskiego za twórczość pisarską. Dalsze nagrody literackie zawdzięczamy chwalebnej inicjatywie prywatnej: Wydawnictwo E. Kuthana (Warszawa) nagrodzło Wojciecha Żukrowskiego i Michała Rusinka.

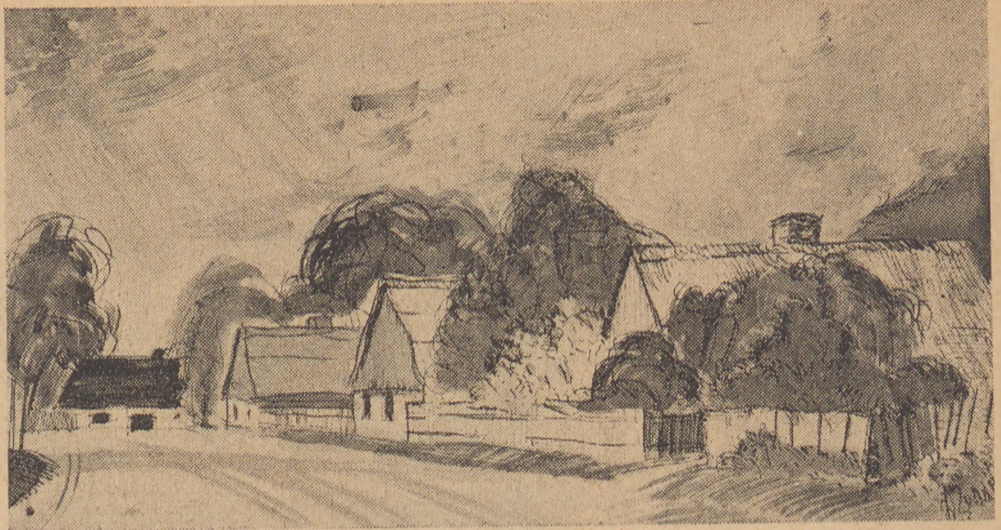
O KS. WACŁAWIE GIEBUROWSKIM.

Na „skałce poznańskiej" — jak określa się zabytkowy kościół Św. Wojciecha w Poznaniu, w którego podziemiach spoczywają zasłużeni Wielkopolanie — złożono szczątki doczesne ks. Wacława Gieburowskiego, zasłużonego kierownika znanego szeroko w kraju i poza krajem „Poznańskiego Chóru Katedralnego".

Pamięci tego znakomitego muzyka, bydgoszczanina z pochodzenia, — poświęci „Arkona" w najbliższym swym numerze wspomnienia pióra Mariana Turwida.

RADIOSTACJA WE WROCŁAWIU.

Rośnie potencjał kulturalny Ziem Zachodnich i Odzyskanych: 29 września dokonano uroczyście (wielki koncert Filharmonii Wrocławskiej) otwarcia 11-tej z rzędu rozgłośni Polskiego Radia. Należy się spodziewać, że nowa placówka przejmie na siebie znaczną część trudu realizacji programu pracy kulturalnej na dolno-śląskim odcinku.



WIEŚ NA MAZURACH — Rys. JÓZEF NYKA

Jan Dobraczyński

SKAJBOTY

URYWEK POWIEŚCI NIEWYDANEJ PT. „NAJEŹDŹCY"

Jechali przez Starogard, Wałcz, Piłę, Nakło, Bydgoszcz — potem na północnowschód wysokim, lasami porosłym brzegiem Wisły, przez Świecie — to w tym miejscu przed sześciu laty przeprawiały się przez rzekę rozbite brygady kawalerii polskiej — przejechali most pod Grudziądzem — długi, pokryty belkowaniem, podobny do tunelu. Zapadł wieczór. Miasto wznosiło się przed nimi na wysokim brzegu, wtłoczone między wzgórza, gęsto czarnym lasem porosłe. Światła były starannie wygaszone, na czystych ulicach panował ruch niewielki. Zjedli kolację, przedrzemali się trochę w oficerskim Gasthausie. Z szarym świtem pojechali dalej: Łasin, Jędrychowo, Iława, Ostrów.

Dzień wstawał znowu pogodny i upalny. Jechali krajem równinnym, pełnym olch i wierzb, podmokłym, gęsto jeziorkiem pokrytym. Herbert wyjął z kieszeni mapę, chwilę się jej uważnie przyglądał, potem spojrzał na zegarek — i wtedy rzucił szoferowi rozkaz by zatrzymał auto. Kiedy umilkł warkot motoru zrobiło się bardzo cicho. Na pustej drodze rozlegał się tylko świergot ptaków w listowiu drzew. Major zwrócił się do towarzysza:

— Jest wcześnie. Za pół godziny możemy być w Olsztynie. Czy nie chciał by pan, panie poruczniku, zajechać ze mną do małej wsi tutaj — w bok od drogi? Ta wieś nazywa się — przeczytał z mapy — Skaibotten...

Koogler przeciągnął się leniwie.

— Z panem, commodore, zawsze i wszędzie. Zdaje się, że bardzo ładnie. Uch! Bolą mnie wszystkie kości. Ale jedźmy, naturalnie, że jedźmy. Zwłaszcza jeżeli mnie pan przy sposobności poczęstuje jakimś solidniejszym alkoholem. Czy można jednak wiedzieć, cóż to za piękna miejscowość te — Skaibotten?

Koestring dał znak szoferowi, aby skręcił w boczną pylną i źle utrzymaną drogę. Wiodła ona wąską, wysadzoną drzewami groblą wśród wilgotnych pól. Samochód począł podskakiwać i zataczać się, rzucając się co chwila gwałtownie to w prawo to w lewo. Herbert trzymając się pręta za oparciem przedniego siedzenia, powiedział:

— Skaibotten? Mała wieś... Nie byłem tam zresztą nigdy. Jest to wieś rodzinna... — podniósł wzrok na Koerlinga. — Czy pan znał pułkownika Kostrzewę?

— Tego słynnego Kostrzewę z Luftwaffe?

— Tak.

— Niestety. Tylko z fotografii.

— Ja go znałem dobrze. Był moim przyjacielem. Otóż te — Skaibotten — są jego wsią rodzinną...

— Ah, so... Troszkę tu odludnie i dziko. Ale cóż? Ostatecznie Sulmona też była dziurą. I Chios. I Eleusis. Nie to jest małe co jest małe, ale to jest wielkie, co potrafi wyrosnąć. Z Ajaccio też można było zrobić pępek świata.

Samochód niemożliwie podskoczył na jakimś wykrocie. Szofer i Koogler zaklęli.

— Diabelsko spracowana droga. Herr commodore. Psia krew! Gdyby Skaibotten stało się stolicą świata...

— Jak Braunau? „Als glueckliche Bestimmung gilt es mir heute, dass das Schicksal mir zum Geburtsort gerade Braunau am Inn zuwies..."

— Do licha! Pierwszy chyba raz słyszę dowcip w ustach pana, commodore. Ale racja — gdyby się było stało stolicą, może by tutaj zbudowano lepszą drogę.

Grobla skończyła się, droga stała się szersza, piaszczysta, rozryta niezliczonymi koleinami. Z prawa i z lewa widać było małe stawki, otoczone zwartym murem zieleni. Potem pojawił się las, pełen dzikości, zapuszczony, gęsto podszyty małymi krzewami, prawdziwy las-puszcza. Ponad morzem listowia rozmaitej odcieni zieloności wystrzelały wysokie u góry dopiero rozczapierzone w parasol gałęzie sosny. Co kilkaset metrów w głąb lasu biegła prosta duchta, gubiąca się jednak zaraz za festonami nisko zwieszających się naręczy liści. Ten las, przyciskający się raz po raz blisko do drogi bladą zielonością dębów i migotliwą zwiewnością liści brzozowych był siłą pierwotną, mocną i nieustępliwą. Niewątpliwie trwał tu od wieków. Niewątpliwie stał tu już wtenczas, gdy drogą ciągnęli z najazdem na zamek olsztyński rycerze krzyżowi. Ludzie nie oparli się sile najazdu — las trwał dalej zwycięsko. Pozornie było go przecież łatwo zwyciężyć. Pozornie wystarczyłoby tylko trochę wysiłku, by wybić przezeń drogi aż na brzeg niegościnnego

morza. Tymczasem stało się inaczej: morze zarastało lasem, wciąż gęściej i gęściej. Zarastało i dziczało. Zniechęceni ludzie uciekali. Kto przyszedł — ten wracał. Za Wisłę, za Odrę — w meklemburskie piaski, na lüneburską „heidę“. Las nie ustępował. I jeśli oni — uświadomił sobie nagle Herbert — leżeli wzdłuż wybrzeża by zgodnie ze słowami Kooglera odcinać tamtych od tego co „necesse est“, to ten las leżał tu także i swą bezwzględną siłą odbierał im ich zwycięstwo. Koestring po raz pierwszy w życiu był tutaj. To też dziś dopiero, jadąc prędko po nierównej, pełnej wybojów szosie, pod nisko zwisającymi gałęźmi, które z szurganiem liści ocierały się o dach auta, uświadomił sobie tajemniczą prawdę tej prowincji. Ze zdumieniem zdawał sobie sprawę z tego (może trzeba mu było aż sześciu bez mała lat wojny, by to zrozumieć), że kraj tutejszy jest krajem nie tylko obcym, ale także krajem wrogim.

Jedna z dróg była szersza i zastawiona cienkim, biało-czarnym szlabanem. Przy szlabanie stał człowiek z psem. Mężczyzna był stary. Gdy Herbert zatrzymawszy auto, przywołał go do siebie, zobaczył twarz suchą, obciągniętą dziwnie cienką skórą, pod którą widać było ruchy kości szczęk i policzków. Mężczyzna szedł z trudem, utykając na nogę. Małe, lekko wyłupiaste oczka patrzyły ciekawie spod wielkiego daszka czapki. Na szyi miał zawieszoną dubeltówkę, na sobie szarą, zniszczoną kurtkę z zielonymi wyłogami i kościanymi guzikami. Tuż przy nogach mężczyzny szedł czujnie mały, kudłaty, białoczarny psiak. Nie szczekał, ale patrzył wyczekująco na samochód.

Człowiek podszedł do auta i uchylił grzecznie czapki. Jeśli twarz nie była nawet tak bardzo stara, to te małe zeschłe dłonie — prawie dłonie mumii — mówiły o podeszłym wieku. Z bliska widać było, że do kurty myśliwskiej spotkanego, przyczepione były baretki dwóch E. K. z tamtej wojny.

Koestring zagadnął pierwszy:

— Słuchajcie. Nie wiecie wy gdzie tu jest wieś Skaibotten?

Człowiek w myśliwskiej kurcie zaśmiał się, ukazując w tym uśmiechu bezzębne, sine wargi.

— Hi, hi, hi. — był to starczy śmiech, zawsze robiący wrażenie szyderczego — hi, hi, hi. Skaiboty — nein? Ah, jo. To tu blisko. Niech Herr major jedzie dalej prosto, gerade gerade — nein? Tylko droga zła, o zła. Hi, hi, hi. Tam dalej chyba nie przejedzie...

Herbert skinął gło[illegible]

— Jakoś damy sobie radę. Ale znaczy jedziemy dobrze.

— O, dobrze. Hi, hi, hi — stary postawił nogę na stopniu auta, jakby miał ochotę na dłuższą rozmowę, — dobrze... — sięgnął do kieszeni, wydobył misternie skręconą fajkę z bursztynowym cybuchem — Pan major tytoniu nie posiada? — zapytał.

Kiedy Koestring podał mu otwartą papierośnicę w oczach tamtego błysnął płomyk chciwości. Małe palce zdawały się przebierać między papierosami. Łapczywie zaciągnął się dymem.

— Na... — podiął — dobrze jedziecie. Ale pan major do kogo w Skajboty? Hi, hi, hi. Mała wieś...

— Wiem. A wy może stamtąd?

— Nie, ja od dworu — ruchem głowy wskazał kierunek — Ale wieś znam. Ja tu od lat. Dobrze znam. Hi, hi, hi.

Wypuścił wielki kłąb dymu — palił śpiesznie i chciwie jak człowiek, który dawno nie widział papierosa. Małe oczy wświdrowywały się ciekawie w twarz Koestringa.

— Jak znacie, to wam powiem — Herbert wychylił się z auta przez rozwarte drzwiczki. — Tam mieszka rodzina Kostrzewów...

— Jo, jo — potwierdził tamten, kiwając głową — Hi, hi, hi. Ja wiem. Są. Jest — zastanowił się chwilę — ten stary — jak mu tam? — aha, Mateusz... jest żona jego brata Katarzyna. Wiecie — jej syn był lotnikiem, oficerem. Dostał dużo krzyżów.

— Właśnie mi o nich chodzi.

— No to jest. Hi, hi, hi. — nie przestawał świdrować oczami — Pan major do niej? To może znowu jaki krzyż pan major wiezie?

— Nie. A jej mąż nie żyje?

— Nie żyje. Dawno. Ze trzydzieści lat. — coś błysnęło w oczach starego — nie żyje. Hi, hi, hi. — nieoczekiwanie wyciągnął chudy palec zgrubiały w stawach. — o tam, pod tym dębem — znowu mu oczy błysnęły — umarł...

— Tam? Umarł?

— Umarł. Musiał... umrzeć. Hi, hi, hi. — stary wyciągnął dłoń niby szpon ku papierośnicy, którą otworzył Koogler. Wzrokiem poprosił o papierosa. — Musiał... Bo pan major wie, że tego młodego Kostrzewę to wychowywał nasz pan.

Herbert słuchał gadaniny starego z coraz żywszym zaciekawieniem. O życiu przyjaciela wiedział w gruncie rzeczy tak nie wiele: Hugo o tym nie mówił i nie lubił mówić. Czasami wyrywały mu się tylko jakieś powiedzenia, trudne zresztą do sklecenia w całość.

— Kto jest waszym panem? — zapytał.

— Nasz pan? Hi, hi, hi. Nasz pan nie żyje. Baron Wilhelm von Grote...

Oficer drgnął. Od razu przypomniał sobie wszystko, co mu mówił Maries i zrozumiał, że teraz ma cały obraz przed sobą.

— Rozumiem. Więc to on wychowywał Hugona?

— O właśnie. Tego — Kostrzewę... Wychowywał. A ojciec — głupi człowiek, słowo daję, hi, hi, hi, nie chciał. Chował syna przed panem baronem. Hi, hi, hi. To i musiał... O, tam...

Herbert podniósł wzrok, który miał poprzednio spuszczony i uważnie popatrzył w twarz człowieka przed sobą. Małe oczka wciąż błyskały, duże, spiczasto zwinięte uszy odsterkiwały mocno od łysej czaszki. Herbertowi zdawało się, że widzi jak ten człowiek trzyma w dłoni swą dubeltówkę i wolno, wciąż z tym samym, nieschodzącym z warg szyderczym uśmiechem, podnosi ją do skroni. Przebiegł go dreszcz.

— Daleko do wsi? — zapytał jeszcze.

— Nie, nie. Hi, hi, hi.

Koestring prawie gwałtownym ruchem zatrzasnął drzwiczki. Dał rozkaz szoferowi i ruszyli. Znowu gałęzie biły o dach samochodu, zaś wykroty i rozkopiska mieli pod kołami.

Na wieś wyjechali niespodziewanie. Nagle, niby ucięty nożem, skończył się las i wyjechali na podmokłą równinę, pokrytą krzewami i szuwarem. Znad krzewów widać było chaty — zszarzałą i zrudziałą słomą pokryte. Wieś była nędzna, tak nędzna, że aż Koogler przytknął palcem w wierzch papierośnicy i powiedział:

— No, no, to gorzej niż Ajaccio. Nie sądziłem, że w Niemczech mogą być wsie równie zaniedbane...

Samochód zatoczył się na rozrytej, pełnej piachu drodze. Przydrożne wierzby poprócniałe, otwierające wnętrza swych rozłupanych pni, sterczały smutnie nad błotnistym rowem.

— Wie pan, co, commodore? Przypomniało mi się, że wielki Fryc nazywał tę ziemię Kanadą, a tubylców Irokezami. Irokezi kanadyjscy zostali ucywilizowani — tzn. wystrzelani. Ale tych tutaj — obawiem się

...I NA POMORZU

AUTOCHTONI OBRADUJĄ

Mniejwięcej w równym czasie odbyły się na ziemiach odzyskanych dwa ważne zjazdy najprawdziwszych gospodarzy tych ziem. W końcu września obradowali autochtoni pomorscy w Szczecinie, 5 i 6 października — przedstawiciele rodzimej ludności Ziemi Lubuskiej — w Babimoście.

Oba Zjazdy skupiły przede wszystkim element rekretujący się z byłych działaczy Związku Polaków w Niemczech. Są to — podkreślamy — najwłaściwsi gospodarze naszych nowych terenów — i w pierwszym rzędzie o nich opierać się winna praca kulturalna na Pomorzu Zachodnim i Wschodnim, Ziemi Lubuskiej i Śląsku.

PO „DNIACH TORUNIA“

„Dni Torunia“ nie były przedsięwzięciem wyłącznie kulturalnym (choć były nim przede wszystkim), lecz w równej bodaj mierze — propagandowym. Spojrzenie na imprezę z pewnej odległości czasowej pozwala na ocenę jej istotnej wartości dla rozwoju życia kulturalnego miasta, dopomaga odróżnić zdobycze trwałe — od tymczasowych. Niebezpieczeństwo tymczasowości, przy tego rodzaju imprezach istniejące zawsze, zagroziło i toruńskim uroczystościom. Zgodny wysiłek wielu elementów ruchu kulturalnego pozwolił zrównoważyć przerost efektów zewnętrznych przez poważne osiągnięcia pozytywne, szczególnie w dziedzinie sztuk plastycznych (muzeum, wystawy) i ich upowszechnienia (konkursy wystaw sklepowych, kiermasz), akcji odczytowej i śpiewaczej. Ciekawych szczegółowej relacji — odsyłamy od działu kronik bieżącego numeru.

PRAWDZIWE UPOWSZECHNIANIE

To, czego świadkami byliśmy na Wybrzeżu zasługuje w pełni na miano najwłaściwiej pojętej akcji upowszechniania sztuki. W czasie ostatnich dwu miesięcy zorganizowano tam trzy koncerty z cyklu imprez „dla świata pracy“. Henryka Sztompki, Jerzego Gardy, ostatnio zaś Filharmonii Bałtyckiej (z solistami) słuchało w olbrzymiej hali stoczni okrętowej razem biorąc ponad 30 tysięcy słuchaczy. Niecodzienne osiągnięcie organizacyjno-kulturalne zostało — najsłuszniej — utrwalone przez Film Polski.

MALBORK — JAKO MUZEUM

Parę ważnych rezolucyj wynikło z obrad Zjazdu Muzeologów w Nieborowie pod Łowiczem, między innymi i ta, ażeby w zamku krzyżackim w Malborku (uszkodzonym w czasie działań wojennych) urządzić muzeum, obrazujące odwieczną walkę narodów słowiańskich z naporem germańskim. Z entuzjazmem przyjmując rezolucję — oczekujemy najwcześniejszej jej realizacji.

NOWE SZKOŁY, NOWE INSTYTUCJE

Szereg dalszych faktów do zanotowania: W Sopocie utworzono oddział warszawskiej Akademii Nauk Politycznych. W Olsztynie, dotychczasowa Wyższa Szk. Prawa i Administracji uznana została za ekspozyturę Wydziału Prawno-Ekonomicznego U. M. K. w Toruniu. Szkoła Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy podległa upaństwowieniu, rozwijając dalsza działalność pod nazwą „Państw. Szk. Sztuk Pięknych“. Ponadto w Bydgoszczy utworzono Radę Zaw. Zw. Artystycznych, a dotychczasowa orkiestra symfoniczna przetworzono w Filharmonię Pomorską. Szczecin oczekuje lada dzień otwarcia Muzeum Morskiego, pozostającego pod opieką Instyt. Bałtyckiego. Przy tymże muzeum znajdzie pomieszczenie nowy na Wybrzeżu organ naukowy — Instytut Fizjograficzny.

POD ZNAKIEM NADZIEI

Pod znakiem optymistycznych nastroi ze strony społeczeństwa wkroczyły teatry pomorskie w nowy sezon. Istotnie, sytuacja teatralna na Pomorzu zdaje się w stosunku do ubiegłego okresu zapowiadać dużo zmian „na lepsze“.

Do Olszyna przybył Karol Adwentowicz — Pomorze wiąże z jego osobą dużo nadziei. Opłakana sytuacja na gdyńsko-gdańskim Wybrzeżu uległa wyraźnej sanacji, przez powstanie tam trzech nowych placówek: Zespołu Iwo Galla i Teatru Marynarza — w Gdyni, oraz Teatru Form Literackich w Gdańsku. Nieunormowane stosunki szczecińskie, o których nieraz relacjonowaliśmy — również zdają się zmieniać nieco na korzyść. W Bydgoszczy w końcu miesiąca oczekujemy ukazania się nowej sceny — „Teatru Poetyckiego“, utworzonego przez grupę entuzjastów, w oparciu o Klub Liter.-Artystyczny. „Teatr Polski“ — z którego letnim repertuarem „Arkona“ staczała wielkie walki — zapowiada szereg wartościowych pozycji. „Damy i Huzary“ wystawione na czele sezonu każą wierzyć w spełnienie obietnic, tym bardziej, że kierownikiem literackim teatru został Adam Grzymała-Siedlecki. Wreszcie Toruń: Tutaj, wraz z pozostaniem dyr. Horzycy na swym stanowisku możemy liczyć na kontynuację śmiało zakreślonej w ubiegłym sezonie linii zamierzeń. Prapremiera „Orfeusza“ A. Świrszczyńskiej jeszcze raz wykazała słuszność najbardziej entuzjastycznych opinii o tej pierwszej ze scen Pomorza.

— nie dość skutecznie ucywilizowano. Gotowi zażądać naszych skalpów.

W końcu stanęli przy pierwszej z brzegu chacie. Dalej trudno było jechać. Wysiedli. Ruch we wsi był mały. Na szerokiej ulicy wioskowej kręciło się tylko kilkoro dzieci. Herbert zawołał na chłopca w krótkich majtkach i zapytał go o Katarzynę Kostrzewa. Malec podprowadził oficerów do chaty w samym środku wsi. Była stara, zgarbiona, zda się biadająca nad nieporządnym, zaśmieconym podwórzem, po którym wśród kałuż spacerowała kaczka z kaczętami. Przed chatą był mały klomb, na którym rosły malwy i tulipany, dalej mały ganeczek, na który wchodziło się po paru starych i wąskich schodkach. Na ganku na ławce siedziała staruszka, ciemno ubrana, z głową okrytą czarną chustką. Na oczach miała okulary, na kolanach książkę, którą z uwagą czytała. Gdy mężczyźni weszli na schodki, podniosła ku nim wzrok.

— Morgen — powitał ją Herbert — Czy pani Kostrzewa?

Właściwie nie potrzebował pytać. Spoza tanich, w drut oprawnych okularów, spojrzały na niego szare, mocne, znane mu dobrze oczy Hugona. Syn był bardzo podobny do matki. Spokojnym ruchem odłożyła książkę na ławkę.

— Jo — powiedziała. — Nazywam się Kostrzewa. Was wuenschen sie, meine Herren.

Niemczyzna brzmiała w jej ustach twardo, nieporęcznie. Choć mówiła słowa proste, zdawkowe, wymawiała je powoli, jak nauczoną lekcję.

— Nazywam się Koestring — Herbert zasalutował. — Byłem przyjacielem Hugona. Do ostatniej chwili byliśmy razem. Chciałem tu przyjechać...

Właściwie to nie wiedział dlaczego chciał tu przyjechać. Coś go nieoczekiwanie do tej podróży podkusiło. Staruszka nie spuszczała zeń wzroku.

— Pan był z moim synem. Aha!.. — nie wydawała się tym ani wzruszona, ani zaciekawiona. — Zginął. Pisali, że mu się samolot zepsuł....

Herbert zdziwiony potrząsnął głową.

— Nie. Źle napisali. Hugona zabiły angielskie bomby.

Teraz zauważył na spokojnej twarzy kobiety jakby rozjaśnienie i błysk zainteresowania. Powiedziała:

— Tak. Ja od razu myślałam, że źle napisali...

Położyła dłoń na książce i gładziła karty spokojnym miękkim ruchem. Milczała dłuższą chwilę. Potem zaczęła:

— Und jetzt... — urwała. Splotła dłonie i wtedy zauważył, że ma jedną z nich owiniętą różańcem. — Jetzt — znowu podjęła — was wuenschen Sie?

Uśmiechnął się lekko zakłopotany:

— Nichts... Chciałem tylko... Zobaczyć...

Z podwórza doleciał ich nagle głos dziecinny. Herbert spojrzał w bok i zobaczył sześcioletniego może chłopaka, stojącego boso na środku zagrody. Miał wielką czapkę wepchniętą na oczy, jedną rękę w kieszeni portek długawych, bo do pół łydki prawie spadających. Wołał:

— Babka! Babka! A gdzieżo gablo położoli? Mama pyto.

Odpowiedziała mu tak samo:

— A dy u konio. Poszukoj, maluczki.

Chłopak odwrócił się i poszedł w stronę zabudowań gospodarczych. I znowu była to wizja przejmująca, mały szedł tak dobrze znanym Herbertowi krokiem — pozornie niedbałym, a przecież czujnym i prężnym. Major aż dotknął dłonią oczu, by się tym dotknięciem upewnić, że nie śni. Stał tak chwilę. Nagle usłyszał mówiącą kobietę:

— Chciał pan tylko zobaczyć? No — to niech pan patrzy. Tu się urodził. I tu by umarł, gdyby go nie ukradli...

Drgnął. Kobieta mówiła dalej wolno, twardo, a przez to może dziwnie dobitnie:

— Zabrał go pan baron. Mój mąż nie chciał dać, ale go w lesie ktoś zabił. Że to — Raubschuetz... Że polował na pańską zwierzynę. Mój nie polował — odetchnęła ciężko. — No, zabrali. Do szkoły, daleko. Przyjechał potem kilka razy: oficer... A potem — ironia zabrzmiała w jej głosie — samolot się zepsuł. Medali i krzyżów przysłali. List od samego Goeringa. — Niespodziewanie zmieniła ton. Powiedziała ostro i twardo, jak ostro i twardo potrafił mówić Hugon: — A teraz może tego weźmiecie? Ma już pięć lat. Nada się — nie?

Była tak gwałtowna w tych słowach a jednocześnie tak bardzo przypominała syna, że Herbert cofnął się o krok. Z niedowierzaniem powtórzył:

— Ukradł? Baron zabrał Hugona?

Zaśmiała się po chłopsku, urągliwie:

— Wy myślicie, że nie. Nie jego jednego! Idźcie na wieś, pytajcie. Zabierali i u Zieuciarów i u Kłopoków i u Pałków. A dziewczyny? Też pytajcie. Brali do dworu — na robotę niby. A tam jakiś pan — wiecie już? A jak był dzieciak to go zaraz potem do żłóbka do Allenstein...

Urwała. Zapadło milczenie. Słychać było jak chłopak wołał na podwórzu w stronę sąsiedniej zagrody:

— Fronek, Fronek. Te szwoby, co Kroftem przyjechali, som u nos...

— Widzieliście już? — zapytała kobieta. Dotknął ręką furażerki.

— Tak. Dziękuję.

Zawrócił i wyszedł na ulicę wioski. Obok niego idący Koogler mruknął:

— Irokezy. Nie pojmuję commodore...

Ale Herbert rozmowy nie podjął. Bez słowa doszli do auta, które szofer wprowadził w cień kępy drzew. Już mieli siadać, kiedy Herbert zauważył że drzewa otaczają stary wysoki krzyż przydrożny. Ledwo stał, tak był już stary. Powierzchnia drzewa stała się gąbczasta i chropowata. A mimo to gdzieś w połowie wysokości widać było część napisu, wyrżniętego szwabachą: „wybawi nas...“ Koestring chwilę przyglądał się krzyżowi. Potem wsiedli do samochodu. Pojechali.

Jan Dobraczyński

Emilia Sukertowa-Biedrawina

SŁOWIAŃSKOŚĆ ZIEM POMORZA WSCHODNIEGO

Jest kwestią zupełnie zrozumiałą, że Niemcom zależało na tym, aby wmawiać ludowi własnemu i innym narodom, że odwieczna „kolonia Prusy Wschodnie“ nic z Polską wspólnego nie miała. Chodziło o to, żeby zatrzeć wszelkie ślady słowiańskości i tym samym polskości. Dlaczego jednak pisarze i historycy polscy idą śladem Niemców, dlaczego nawet młodzieży polskiej wpaja się wiadomości, zasłaniające skrzętnie wszelkie dowody polskości ziemi wschodnio pruskiej — pojąć trudno. A jednak faktem jest brak zainteresowania istotną prawdą dziejową. A przecież tyle mamy dowodów, że Prusy Wschodnie stanowią dalszy ciąg ziem polskich, nie różnią się ani strukturą geologiczną, ani glebą, ani fauną czy florą. Dzisiejsze województwo olsztyńskie w odległych czasach zamieszkiwały te same ludy, jakie spotykamy na innych ziemiach polskich. Już w epoce mezolitu od środkowej Wisły, wzdłuż Wkry i Orzyca ciągnęli w stronę Prus Wschodnich nosiciele kultury świderskiej, kultury z środkowej Polski i Pomorza. Prof. J. Kostrzewski stwierdza bliskie związki między dzisiejszym Mazowszem mławskim, a ziemią mazurską, czyli Mazowszem północnym jeszcze w czasie neolitu.

W młodszej epoce bronzu mniej więcej 1000 lat przed naszą erą ekspansja wspaniałej kultury łużyckiej z jej grobami ciałopalnymi i piękną ceramiką również przybyła od strony środkowej Wisły. Zmarły w czasie wojny badacz przeszłości Mazowsza mławskiego, dr. Józef Ostaszewski, na zasadzie studiów nad nazwami topograficznymi wyprowadził pierwszą ekspansję Bałto-Słowian z metropolii około Czerska i Rawy. Podobnie ze środkowej Polski prowadzi nosicieli kultury łużyckiej w niedawno wydanej niezwykle cennej pracy prof. Tadeusz Lehr-Spławiński.

Do Bałtyku, po Pregolę sięga ta kultura. Na terenie byłych Prus Wschodnich nastąpiło rozszczepienie, wyodrębnienie się Bałtów zachodnich, z których powstały szczepy staro-pruskie, znacznie później aniżeli wyodrębnienie się Bałtów wschodnich (kurońsko-litewsko-łotewskich), jak twierdzi młody prehistoryk Jerzy Antoniewicz. W połowie ostatniego tysiąclecia dawnej ery odbywa się nowa ekspansja od strony dzisiejszej Warszawy utartym szlakiem — Wkrą i Orzycem — to bogata kultura lateńska, której nosiciele gęsto rozsiedli się w powiatach niborskim i działdowskim.

Bliskie pokrewieństwo i identyczność kulturowa ludności po obu stronach kordonu (który przez setki lat dzielił Mazowsze od b. Prus Wschodnich) w okresie wczesno-rzymskim świadczy o tej samej ludności. W okresie wczesnohistorycznym ceramika wschodnio-pruska — zdaniem prof. Kostrzewskiego — pozostaje pod silnym wpływem współczesnej ceramiki słowiańskiej, krążka garncarskiego oraz typowych form i ornamentów.

Tyle mówi prehistoria.

Geografowie, kronikarze i podróżnicy starożytni niejednokrotnie wspominają, że siedliska słowiańskie sięgały w czasach zamierzchłych aż po Bałtyk. Herodot z V wieku przed Chr. zna Neurydę, uważaną za kraj słowiański, obejmujący Polskę południową i b. Kongresówkę, w tym ziemię nurską i dorzecze Narwi. Zaznacza, że na północ od tej ziemi już nikt więcej nie mieszka. Euetowie Herodota mieszkają nad północnym oceanem nad wybrzeżem bursztynodajnym.

Ptolemeusz, geograf grecki z II wieku naszej ery na mapie swej południową część Bałtyku nazywa Wenecką zatoką, lud nad nią osiadły — Wenetami. Niederle, czeski slawista, twierdzi, że nazwa Wenedów, Wendów nadana została Słowianom przez sąsiadów Celtów dla jasnych włosów i oczu od celtyckiego wyrazu „windos“ (biały). Nazwę tę według prof. Jażdżewskiego przejęli Germanie. Prehistoryk niemiecki Gaerte twierdzi, że Germanie nazywali Słowian Wenedami od wyrazu „die Weidenden“, pasterze, oni sami nazywali siebie „Słowenami“. Badacz Warmii Bender (w XIX wieku) skonstatował, że „gdybyśmy trzymali się zdania Ptolemeusza, przyszlibyśmy do przekonania, że najdawniejszymi mieszkańcami Prus Wschodnich byli Słowianie...“

Geograf Pomponiusz Mela twierdził, że Słowianie byli autochtonami b. Prus Wschodnich. Jordanes, historyk gocki VI w. po Chr. i Einhardt frankoński VIII w. wyraźnie wspominają, że Gotowie w II w. dawnej ery podbili Wenetów, siedzących nad Bałtykiem.

Na mapie, opracowanej w drugiej połowie XIX w. przez „Tow. historyczne dla badań Warmii“ i na zasadzie opisów podróży Pytheasa Greka z IV w. przed Chr. i Anglosasa Wulfstana w IX w. po Chr. wyraźnie zobrazowano, że między ziemią Wenetów a kraj Aestów, uważany przez niektórych badaczy za siedzibę Baltów, wdarli się klinem Gudowie czyli Gythonowie, tj. Germanie. (Obszar między Pregołą, Niemnem, Bałtykiem a Sambią czyli wybrzeżem Bursztynowym).

Niemiecki prehistoryk La Baume twierdzi, że nie można ustalić, kiedy i w jakim porządku nastąpiła inwazja szczepów germańskich. Powszechnie utarło się twierdzenie, że w III w. przed Chr. przybyli do b. Prus Wschodnich Bastarnowie (niektórzy badacze uważają ich jednak za Celtów), których w 100 lat później wyparli Gotowie i zagospodarowali się. Według historyka greckiego Prokopiusa postępowali w sposób okrutny z ludnością zasiedziałą, zajmowali ziemie skolonizowane, zamieniając tubylców w niewolników.

Ze skrzyżowania Gotów z tubylczymi kobietami powstali Getowie, zwani później Geti vel Prusi lub Sambi vel Prusi. Getowie stopniowo podbili ziemie po lewym i prawym dorzeczu Wisły, rozsiedli się pomiędzy ujarzmionymi tubylcami, nie zakładali wsi, lecz grody warowne, nie dowierzając autochtonom. Żyli jak powiada Gallus, „sine rege et lege“. Gotowie w II w. po Chr. wypędzeni zostali przez Słowian i pociągnęli na południe ku stepom czarnomorskim.

Według Wulfstana w północnej części Prus Wschodnich podobnie jak i w innych ziemiach słowiańskich palono zwłoki nieboszczyków na



Z WARMII

WARTEMBORK

stosie, wdowy szły dobrowolnie na śmierć, ginęły wraz z mężami w płomieniach.

Sambia przeżyła jeszcze jedną ciężką inwazję w w. X. Saxo Grammaticus, kronikarz duński podaje, że Wikingowie duńscy napadli na te prowincje, wymordowali mężczyzn, pożenili się z kobietami, założyli kolonie, która trwała jakiś czas. Dokonywali oni wypadów na sąsiednie ziemie południowe i południowo-zachodnie.

Słowiańskość autochtonów ziem, tworzących dziś województwo olsztyńskie, przyznają nie tylko badacze polscy jak Dominik Szulc, którego pracę „O znaczeniu Prus dawnych" cenił Wojciech Kętrzyński, ale i badacz Warmii dr. Sieniawski, który twierdził, że Słowianie siedzieli po Pregołę. Pogląd jego podzielał niemiecki historyk Roeppel. Sławny w XIX w. prof. niemiecki Obermüller przyznaje, że liczne na ziemi tej kurhany tzw. Hühnergräber są mogiłami słowiańskimi, a młodsi koledzy Obermüllera, Hugo Bonk i C. Beckherrn twierdzili, że popularne tzw. „Schwedenschanzen" nie są szwedzkimi, lecz „świętymi szańcami", „świętymi górami słowiańskimi". Słowiańskie pochodzenie Mazowsza pruskiego przyznaje badacz i świetny historyk Mazurów dr Max Toeppen.

Według prof. Lehr-Spławińskiego nazwa Pregoła jest słowiańskiego pochodzenia. Słowiańska jest pierwotna osada „Swentemest", później zwana Świętą Siekierką. Prof. Jażdżewski twierdzi, że nazwa jałowca „kadik" (niegdyś uważana za świętą, używana była ta roślina do kadzenia) jest ogólno-słowiańską. Spotyka się ją na ziemi wschodnio-pruskiej aż po Bałtyk. Dr Czekanowski na zasadzie zasięgu nazw drzew jak: cis, grab, bluszcz oraz brak buku — uważa za praojczyznę Słowian dorzecze Wisły i Pregoły.

Ludność nie była jednolita, swiadczą o tym charakterystyki różnych pisarzy; są one wprost sprzeczne. I tak podczas kiedy żywociarz św. Wojciecha Kampanariusz albo Kanapariusz pisze, że Prusowie byli ludźmi chciwymi, okrutnymi, bogiem ich był żołądek (autor miał na myśli mieszkańców Sambii, gdzie św. Wojciech zamordowany został), Adam Bremiński, kronikarz i podróżnik XI w., a zatem współczesny mu chwali ich rzetelność, bezinteresowność, zdolność do poświęceń, gościnność — cechy słowiańskie. Są to raczej charakterystyki dwóch różnych warstw społeczeństwa. Potwierdza to przypuszczenie stara kronika Oliwska, nazywając „Pruthenos" wartswę panującą, a „Pomezanos" — ludność tubylczą.

Obszar byłych Prus Wschodnich dzielił się na szereg prowincji, których nazwy przetrwały w brzmieniu łacińskim: Pomezania, Pogezania, Warmia, Natangia, Bartia, Undecima, Nadrowia, Sasowia,Galzudia, Sudavia, Scalowia. Nazwa „Prusy", którą najpierw spotyka się tylko między Pregołą a Niemnem, czyli na terytorium Sambii, została później rozciągnięta na cały obszar tak po jednej, jak po drugiej stronie Wisły. Jak Prusowie sami siebie nazywali, nie wiadomo, chociaż Bender utrzymuje, że mianowali się „Pruta" od wyrazu rozum, (lecz bogaty słownik pruski prof. Trautmanna nie zna tego wyrazu). Wiele nagłowili się badacze niemieccy nad rozwikłaniem pochodzenia Prus. A więc od litewskich wyrazów: Pruest, myć się, albo „Prusna" pysk, od pruskiego „bruteni", bydło, „presci", rozum, od polskiego wyrazu „proca", którą po mistrzowsku władali. Marcin Borrmann idąc za Roggem wyprowadza nazwę od słowiańskiego pierwiastka „pr . . prunu", czyli piorun i „wepr" czyli wieprz). W połowie XIX w. kiedy zapanowała w nauce celtomania, tłumaczono wszystkie niemal nazwy na terenie od wyrazów celtyckich. Obermuller tłumaczył Po-Rusia — mała lesista kraina. Mrongowiusz w słowniku swym podaje: „słowianie nazywali sasiadów Prusami, dlatego, że przy Rusi mieszkali".

Badacz niemiecki ostatnich czasów Schlicht zaznacza, że hiszpańscy Arabowie-podróżnicy określali nazwą „Rus" wszystko co miało związek z Skandynawią, z plemienia skandynawsikego „Rus" pochodzili założyciele dwóch państw ruskich: nad jeziorem Ilmen i nad Dnieprem, nazwanych Rusią, skąd poszła nazwa „Rosja". Pierwotna nazwa zanotowana została „Prutzi", Prusi, Brusi, Bruzzi itd. Izraelita Ibrahim syn Jakuba, sekretarz poselstwa hiszpańskiego do cesarza Ottona I 965 r. powiada wyraźnie, że z państwem Mieszka I sąsiadują na wschodzie Rusy, na północy Prusy, tak też przytacza głośny pisarz hiszpański owych czasów, Al Bekri.

Kronikarze polscy: Gallus, Bogufał, Kadłubek i Dzierzwa, piszą o północnych prusakach, nazywają ich Gete vel Prusi. Gallus przyznaje, że Polacy na północy graniczyli z narodem bratnim. Prusowie w ciągu wieków siedząc wśród Słowian przejęli od nich język, zwyczaje, obyczaje oraz kult dla świętych gajów, źródeł dębów i lip, sposób palenia nieboszczyków na stosie, jednym słowem zesłowiańszczyli się; przyznaje to kronikarz wschodnio-pruski XVI w. Łukasz Dawid, urodzony w Olsztynie. Nigdzie w b. Prusach Wschodnich z wyjątkiem Sambii nie natrafiono na trumny gockie, z jednego pnia wykonane. Wszędzie groby ciałopalne słowiańskie. Nawet hitlerowscy pisarze z żalem stwierdzili, że udało im się natrafić na gockie osiedla, groby nawet w północnej Warmii. Wśród niemieckich badaczy ostatniej doby nastąpiła pewna zmiana pojęć. Ziesemer przyszedł do przekonania, że „Kurcho", którego uroczystość obchodzili w starożytności Prusowie jesienią nie był bóstwem tylko wieńcem, żniwnym, plonem nie różniącym się od wieńców żniwnych polskich. Zastanawiając się nad obrzędami, Ziesemer powiada „My nie wiemy, kto to byli liguszoni i tuliszoni i czy istotnie w języku staropruskim odbywały się obrzedy". My Polacy wiemy, że ligawy i ligawki, to były starożytne instrumenty słowiańskie których używać mogli Słowianie w czasie uroczystości pogrzebowych.

Krzysztof Hartknich urodzony XVII w. w Jabłonce pod Pasymem, historyk, który całe życie poświęcił badaniu przeszłości ziemi b. wschodnio pruskiej w swoim cennym dziele „Stare i nowe Prusy" (Alt und Neue Preussen) twierdzi, że „mowa słowiańska, czyli wenecka była tu pierwsza (die slowenische oder wendische Sprache war allhier die erste). Przytacza on za Janem i Hieronimem Maleckim fragment żalów, wygłaszanych nad zwłokami młodego Prusaka na ziemi Sudawian.

„Halel, iele, a procz ty umarl?
Iza ty nie miał szto jesti albo pity,
A procz ty umarl?
Halele, lele, iza ty nie mial krasni mlodice
I procz ty umarl?

Po stypie pogrzebowej kapłan wypędzał dusze zmarłych, mówiąc „Jeli, pili duszyce, nu won, won".

Nikt nawet z pośród badaczy niemieckich nie zaprzeczył słowiańskości tych zdań.

Język właściwy staropruski był bardzo ubogi, stanowił mieszaninę germańskich, słowiańskich i innych. Według słownika prof. Trautmanna niemal połowa wyrazów była pochodzenia słowiańskiego. W XVI w. istniały w Sambii i starej Sudawii cztery narzecza, jedni Prusacy drugich nie rozumieli. W 1670 r. jak podaje Jodocus Willichus istniał jedyny człowiek, który znał mowę pruską. Prusowie polszczyli się bardzo szybko. Jarosław, kanonik płocki w swej kronice powiada, że „przed przybyciem Gudów ziemia ta („pruska") czcząca słońce, księżyc i gwiazdy, należała do książat polskich. Dał on dokładne wiadomości o pokrewieństwie i związku Prusaków z Polakami. Hartknoch dowodzi, że Bolesław Chrobry podbił trzykrotnie północnych Gudów i dlatego tytułował się „księciem Gotów". Według niemieckiego historyka Rodego Polacy w XI w. wtargnęli kilkakrotnie do Prus i dotarli do zatoki fryskiej, zmuszajac do płacenia danin.

Najważniejszym dowodem słowiańskości autochtonów jest żywot św. Romualda Damianiego w którym autor zaznacza, że kiedy Bolesław Chrobry zapragnął szerzyć chrześcijaństwo na tej ziemi jako do niego należacej, zgłosiło się dwóch zakonników niemieckich, którzy gotowi byli nauczyć się mowy słowiańskiej (slavonica lingua), ażeby w tej mowie głosić słowo boże.

Bolesław Krzywousty i Bolesław Kędzierzawy, książęta z rodu Piasta, przedsiębrali wyprawy celem nawrócenia ludności Prus na chrześcijaństwo, nie zawsze szczęśliwie. Wyprawa krzyżowa poprowadzona w 1167 r. na zadanie papieża skończyła się klęską; między dzisiejszym Lidzbarkiem a Działdowem legł kwiat rycerstwa polskiego na czele z księciem Henrykiem Sandomierskim, bratem Bolesława Kędzierzawego.

Dzisiejsze Mazowsze północne, czyli ziemia mazurska tj. południowa część woj. olsztyńskiego stanowiła w czasach przedchrześcijańskich dwa mina podróżnik arabski w X w. jako słowiańskie, drugie oznaczone przez Wufstana jako Galindia .

Ową Sasineę nazywa Gallus kronikarz „Sausin", Savsin, (czyta się Zawzin). Obejmowała ta prowincja według historyków niemieckich Artura Doerninga i Thunerta Franca dzisiejsze miasta: Ostróde, Olsztynek, Nibork, Dąbrowo, Działdów, Lidzbark, Lubawę, Mławę, Chorzele, Ciechanów. Na tej ziemi słowiańskiej — według Gallusa — miał się schronić jakiś szczep słowiański, który uszedł z nad Łaby przed prześladowaniem Karola Wielkiego, jego Franków i Germanów. Niektórzy historycy niemieccy tłumaczą łacińską nazwę Sasovia od pruskiego wyrazu „sasins", co prawdopodobnie oznaczało zając nie tylko po prusku, (wydaje się to bezsensowe ze względu na to, że Sasini byli narodem bohaterskim, a nie tchórzliwym). Niektórzy historycy niemieccy identyfikują Sasovię (Sassenland) z Zawkrzem, wyprowadzając do polskiego wyrazu „krzew". Inni podobnie jak niektórzy polscy badacze nazywają „Zawkrze" ziemię leżącą za rzeką Wkrą, wypływajacą z jeziora Dabrowskiego, a wpadającą do Bugo-Narwi pod Modlinem. Wkra istotnie oddzielała wspomniany kraik od inych ziem polskich. Zawkrze zajęte zostało przez książąt mazowieckich w XII w. Puszcza Patręk oddzielała Zawkrze od Golędzi. Słowiańska ta prowincja obejmowała przestrzeń od Łyny po Łek i Narew. Bałtyjski szczep Golędzian (Goliad) siedzący nad Niemnem i Berezyną w czasie wędrówki — „jak twierdzi niemiecki prehistoryk Gaerte — wziął udział w wędrówce narodów, przejął kulturę gocka, osiedli się potem między Łyną a Narwią, założył państwo, które kwitło do 800 r. upadło na skutek wprowadzenia drakońskich praw w stosunku do ludności tubylczej.

Ziemia golędzka, podobnie jak Zawkrze zajęta została przez książąt polskich, oporni może „Golędzianie" przesiedleni na obszary księstwa mazowieckiego, gdzie się w kilku miejscach nazwę podobną spotyka. Konrad mazowiecki żył w dobrych stosunkach z Prusami — na czele wojsk pruskich prowadził wojnę o tron krakowski.

Misję szerzenia chrześcijaństwa powierzył Konrad biskupowi pruskiemu Christianowi — mnichowi klasztoru Cystersów w Oliwie, którego niektórzy historycy uważają za szlachcica pomorskiego z domu Rawa. Pracował on skutecznie, nawrócił około 1216 r. 2 potentatów z ziemi zawkrzyńskiej między Lubawą a Działdowem: Swiatopełka i Wracisława. Według kronik, o których wspomina Długosz, w 2-gim dziesiątku XIII w. nie tylko Prusowie, ale i Litwini do samego Bałtyku byli hołdownikami Konrada. Chrystian przełożył gramatykę Donata na język polski i wprowadził ją do szkół, założonych na Pomorzu Wschodnim*). Sądząc, że Chrystian sam nie podoła nawrócić całych Prus, sprowadził Konrad Mazowiecki zakon Krzyżaków. Osadził ich pod Toruniem i obdarował sowicie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że gotuje sobie i krajowi straszliwego wroga. Krzyżacy zaopatrzeni w przywileje papieża i cesarza niemieckiego mieli prawo zająć ziemię dla siebie, utworzyć państwo zależne od cesarza. Rozpoczęli nawracanie północnych Prusaków ogniem i mieczem. Podpadło Krzyżakom, że nawet w północnych częściach ziemi wschodnio-pruskiej znalazło się wielu „zdrajców sprawy pruskiej" — a byli to

*) Fakt ten potwierdza list papieża Honoriusza III.

Słowianie, już uprzednio prawdopodobnie nawróceni. To też Zakon uznawał słowiańskie pochodzenie tubylców. W przywileju na osadę Holendrów w Pasłęku napisano „Prusacy, Polacy i inni Słowianie". Dominik Szulc, (historyk polski) zaznacza, że najdawniejszy pomnik historyczny, przywilej chełmiński, używa określenia „Prusaków", którzy się obszernym wyrazem „Pomorzanami" nazywają.

Zawkrze i Glądź zajęli Krzyżacy bez walki, uważani snadź byli za braci zakonnych, po których się pracy, pomocy i opieki duchowej i charytatywnej spodziewano. Dopiero następca Konrada Kazimierz Kujawski Łęczycki zorientował się w sytuacji, zażądał zwrotu ziem dziedzicznych, które przez przodków zdobyte zostały. Papież na żądanie Kazimierza i życzenie pozostałych przy życiu niewielu Gołędzian, przyznał prowincję te Kazimierzowi. Lecz Krzyżacy zostali niewzruszeni. Zmusili go podstępem do wyrzeczenia się tej ziemi w 1257 r. Że Mazowsze uważało za niewygasłą pretensję do północnej części Zawkrza jako dziedzictwo potomków Piastowych świadczy fakt, iż po zwycięstwie grunwaldzkim oddał Jagiełło ks. Ziemowitowi mazowieckiemu Działdów i Szczytno, a ks. Januszowi Nibork i Ostrodę. Granicę ustalono ostatecznie w r. 1343. Przetrwała ona niezmieniona do ostatniej wojny. Ziemia zakrzyńska, która zwrócona została księciu mazowieckiemu, zachowała nazwę „Zakrze", dziś jeszcze spotykaną pod Mławą. Północna otrzymała nazwę sasinskiej, Sassenland. Nazwa Gołędzi przetrwała po stronie krzyżackiej i znikła w części przypadłej książętom mazowieckim. Na dzisiejszej ziemi mazurskiej w szczególności w zachodniej części zastał zakon niemiecki osiedla słowiańskie, jak Mielno, Sitno, Sławka, Dąbrowno, Gródki i i., wśród których rozpoczęto w 1321 r. kolonizację, osadzając rycerstwo polskie z ziemi chełmińskiej, szlachtę i chłopów z Mazowsza. Wśród tych Polaków lokowano rodziny pruskie z północy, ale te gnębione przez zakon, polszczyły się łatwo. Mowa polska, czyli słowiańska, która jak zaznaczył Hartknoch, była tu pierwsza, sięgała po starożytne Swętemest (później Świętą Siekierkę) i po Pregolę, noszącą słowiańską nazwę. Po zlikwidowaniu zakonu krzyżackiego, kiedy Prusy Wschodnie stały się lennem polskim, a ekspansja polska spowodowała, że osiedla polskie sięgały niemal Królewca — mowa polska stała się językiem literackim, a Prusy Książęce kolebką polskiego piśmiennictwa.

W późniejszych, ciężkich czasach, przywiązanie ludu do mowy ojczystej spowodowało, że mowa ta przetrwała wielowiekową niewolę, nie zgasiły jej ani wytępiły orędzia królewsko-pruskie, ani drakońskie rozkazy Hitlera.

Emilia Sukertowa-Biedrawina

Bernard Sychta

BUDZTA ŚPIĄCECH!

W związku z poruszaną często sprawą autochtonów szczególnej aktualności nabiera fragment, który tutaj drukujemy. Utwór „Budzta spięcech, Betleem kaszubskie w 3 aktach", został napisany w r. 1939 w przeddzień wybuchu wojny Niestety, cały rękopis przepadł w drukarni, ocalał tylko ten fragment, który miał ukazać się w drukującym się równocześnie nr 1 nowego mesięcznik p. t. „Życie Pomorza". Jak możemy dziś stwierdzić, dramat ten był poetyckim przeczuciem bliskiej przyszłości. Treścią jego jest budzenie pobratymców polskich na Pomorzu Zach., prowadzące do odrodzenia i zjednoczenia całego polskiego Pomorza od Szczecina i Wolina po Gdańsk i Elbląg. Bernard Sychta, najwybitniejszy dziś pisarz kaszubski, autor szeregu dramatów, równocześnie zamiłowany etnograf, reprezentuje w najczystrzej formie ideę zespolenia się Kaszub z Polską.

Rzecz dzieje się w chacie wśród Słowińców.

Red.

NOWCKA: Ninia, tej we meslice, Retrze, żebe jesz roz przeszła do nas Polsko?

RETR (w uniesieniu proroczym): Przińdze, boc ona ju tu roz beła. Tu ona sę rodzeła, a Odra spiewała ji kolebionkę: Bibi, bibi, moje dzecę... Tu ona werosła na królewą i panowa [1] jaż pod Berlin. Tu ona swe serce ostawia. Pod calechną Pomorską [2] to ji serce zaklęte bije w staroswieckich grodzeszczach, gronkach [3] i popiołach, że jaż czec je pod stopą, kiej sę do waju jidze. Rozgarnita ręką zemię, jak kiej dzewczę bulwe na Jakuba podbiero, a pokożą sę stregi cepłi, żewi polski krwi.

NOWCKA: Przed szteriszkiem [4] mia jem jesz strach, ale czim dłeżij jo na was słechaję, tim większo, jakos nieznano donądka moc we mię wchodzi. Choc jem białka [5], ale gabem [6] wiedza, że sę na co przedac mogę, to be mie nie beło żol umrzec, belebe Pomorsko żeła.

DAMPC: Ceż te bajdosz, białko? To tak wskaziwo, jakbe ce wojna szemarzeła w głowie.

(na słowo „wojna" obecni schodzą się bliżej i nasłuchują).

NOWCKA: Jo nie pragnę wojne, jak Miemce, ale sę ji nie boję, jak te, choc chłopiszcze jes.

DAMPC: Tobie je letko smioc sę z wojne, ga jes na nij nie beła.

RETR: Nie gadej nick na Nowckę, bo widzę z ji słów, że prowdzewego ducha mo w se kaszebskiego. Tak beło wjedno w najich dzejach. Kiejbe nie kaszebski białki i nenki [7], tejbe u nas w Polsce godka najo nie rozbrzmiewa nad morzem jak zwone.

DAMPC: Ninia, cziż i wojna odwarci od nas kawel grędego namienienio [8]? Miemc to le je stolem [9]!

RETR: A Polsko to ce je wierę krosnię [10]?! Co?!

DAMPC (zawstydzony): No nie, le że Miemc je większy i mocniejszy.

RETR (z przekąsem): Tak mocny, że on jaż Boga chce z tronu zesadzec! Tak wielgi, że on cały swiat chce w palec od rękawice wetknąc! — Takich stolemów beło skopicą [11]. Me wieme, co sę z nima stało... Nie, nie, ten miemiecki stolem nie je taki chwatki [12] ani w nogach ani w rozemie, jak on sę jarcholi [13], bo on za chutko rós. On więcij stoži [14], więcij straszi, niżle to je wort. Nie z buche [15], leno z prowde i belnote [16] bije wielgosc i moc!

NOWC: Mądrze godajece, Retrze! Jakuże za Welhelma Miemce bełe mocne i wielgi! Wegrałe wiele bitwów, ale wojnę przegrałe.

RETR: Bo nigle ją rozpoczęłe, przegrałe ją w oczach swiata.

NOWCKA: Widzisz, Dampcu!

DAMPC (milczy)

RETR: Wama nie czas chlechac i nosec głowe wedle zemi, ale łokce podkrępac, be sę jęłe robote! Brońta dzirsko swych praw! Mowta głosno po kaszebsku! Nie dawejta jizbe ani żaków z brzegu! Nie cerpta, żebe waj chto krzywdzeł dłeżij. Wa sę dosc kwasnech heltków nagrezła [17] i włosnymi łzama je popija, że jaż ocze mota wepłakane. Zdrzecta ze se morę, co waj gardli, pijówkę, co wama krew wesuso! Nie dejta sę weszalac [18] w pole ani ugiąc sę przed przemocą! — Nie dac sę!! Zacesnąc zębe, jaż skrzepiałe będą!! — Bec cwiardim jak kam!! — Uprzec sę, nie ustąpic na krok, stojec jak mur!! — Wierzec, walczec i dobec [19], żle nie chceta, aby Miemc spiewoł na waji Pusti Noce i teńcowoł na wajim grobie!

OBECNI (wołają): Me nie chceme umrzec!! — Me chceme żec!!

RETR: Jak kiedes prorok, tak i wa powiedzta sobie: Niech mie ręka uschnie prawo, niech o mie ledze w kam a drewno zaboczą, żlebem nie beł na waj buszny [20], Kaszebe moje! Niech mie jęzek w gębie przelnie do podniebienigo, żlebem ni mioł o tobie pamiętac, Polsko! Bez waj nick mię nie ceszi na zemi, ani to żece, an ten swiat!

NOWC: Niga [21] me sę nie zaprzeme, czim me jesme i nie zaboczeme, gdze je naje dodom!

OBECNI: Niga!!

DAMPC: Jo sę też nie zaprzę i nie zaboczę, ale...

RETR: Co ale? jesz te nie dozdrzelił dlo Sprawe? Jesz te wjedno jakis mesle dzegwisz [22]?

DAMPC: Nie, ale ceż me tu sami pocznieme?

RETR: Ceż wa poczniata?! — Mogle inszi, mogle Łużiczani, Szlązoce i Mazurze, moglesme i me Kaszebi za miedzą [23], a czemuż wa be ni mogła?

(wyjmuje z pieca żagiew płonacą i wysoko trzyma w ręce)

Ten ogiń, chteren jo we waju podkocom, niech zniszczi waji falszewi udbe [24] wama wpojone! Niech wepoli z wajich serc niemoc włostną, negę [25] wątpienigo i stracu, a wekulnie na wierzch szczere złoto miłosce! Niech te waji serca rozżoli i stopi z całima Kaszebami i Polską!

(wiatr na morzu przybiera na sile — po chwili)

Czejeta wa, jaki to dzis wiater je na morzu?

WSZYSCY Czejeme.

RETR W taki wiater wa sę muszita zamienic. — Ceż jo rzek? — Nie we wiater, le wszoł, le w sztorm, cobe ten ogiń rozmiecił po cali Pomorsce! W sztorm, cobe zburzeł greńczne słupe nas dzelące! W sztorm, cobe oseszeł welane z brzegów morze, w jakim wa tonieta, cobe ze serc waszińców powerwoł zelesko cezezne [26] i zaprawił je pod zimkowy sew dzejewy [27]! A kiej ju usenieta na stronę wszetki przeszkode, kiej obierzeta kamienie i oszoc [28] i zanekota zogon [29], tej wecignijta do nas zrobiali ręce wołając, że dworznica [30] pod sewbę je zorano i zbronowano, że Polsko mo przińc! I przińdze Polsko, przewiąże sę sewanką [31] i sała mdze w zbudzonech pokoleniach swieże zorno, a ono mdze sę krzeło, rosło i westrzeli w łujny kłos!

NOWC Ninia, bracini, chcele jesme witro wejachac na morze, ale witro ni ma czasu! Me pojedzeme, ale na jinsze morze!! Rozmiejeta wa mię?!

WSZYSCY Rozmiejeme!

NOWC Pudzeme odebrać to, co nasze!!! Pudzeme tak długo, pokądka nogi nas poprowadzą!

DAMPC Jo też pudę z wama!

JARZĄBK Pokądka berlica ne wepadnie nama z garsce!

MACH Pokądka wargami mdzeme mogle rechac!

NOWCKA Jo nie ostanę doma! Czeję, jak mie skrzidła werostają.

NOWC Pudzeme z pustk na pustki, od wse do wse, od miasta do miasta! Nie chceme nick więcij, leno żebe cało Pomorsko stanęło w płomieniach ognia, z chterym Retr do nas przeszedł!!

RETR (wzruszony) Bóg zapłać wama! — Biejta w miono Boski i zabierzta sę do dzeła! Razem z wama szekuje sę Gduńsk... Niech nad wama leci Czorny Grif i nasz Anioł!

(podaje Nowcowi żagiew płonącą):

Tu mota ogiń! Budzta spiącech i zawzętech! Zaswiecta jim w ocze! Weganita z werów zazgniłonech [32]! Pasekrama [33] walta wewiardli skałe! Ułóżta piesnię, co porwie za sobą miljone!!....

---

1 panowa — panowała; 2 Pomorze Zachodnie; 3 garnkach; 4 przed chwilą; 5 kobietą; 6 ga — gdy. kiedy; 7 matki; 8 odwróci od nas straszne przeznaczenie; 9 olbrzym; 10 krasnoludek; 11 wiele; 12 prędki; 13 chełpi; 14 grozi; 15 pychy; 16 dzielności; 17 dość zaznaliście goryczy; 18 wywieść; 19 zwyciężyć; 20 dumny; 21 nigdy; 22 trawisz; 23 tzn. na polskiej stronie; 24 zdania, mniemania; 25 resztę; 26 zielsko cudzoziemczyzny; 27 przygotował do nowej wiosny dziejowej; 28 perz; 29 (dosłownie): wyorzecie pierwszą brózdę; 30 ugór; 31 płachta do siania zboża; 32 zleniwiałych; 33 młotami.

Aleksander Dzienisiuk

QUO VADIS MELPOMENE?

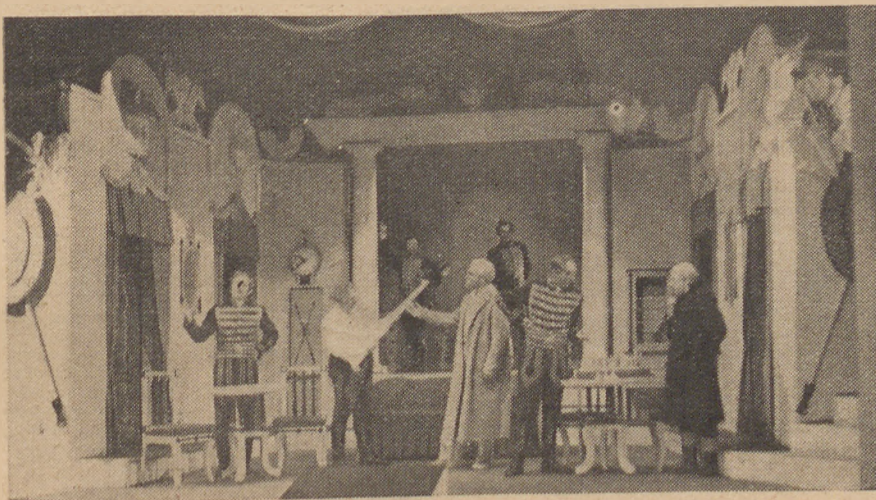
Zasadnicze zmiany geopolityczne i społeczne, jakie nastąpiły w powojennej Polsce, siłą rzeczy musiały wywrzeć swój decydujący wpływ na ukształtowanie oblicza kulturalnego całego kraju oraz na lokalizację głównych ośrodków kulturalnych. Przesunięcie się ku zachodowi, powrót na ziemie nadodrzańskie, żyjące przez wiele wieków w atmosferze intensywnej germanizacji wzmogło naturalnie znaczenie takich miast jak Katowice, Poznań i Bydgoszcz. Te znaczne skupiska ludzkie, niegdyś zamknięte i ograniczone w swych możliwościach wskutek kresowego, niemal nadgranicznego położenia, obecnie „nabrały ciała" i urosły do rozmiarów centralnych środowisk, mających stać się ogniskiem polskiej ekspansji kulturalnej, wkraczającej po wielowiekowej nieobecności na ziemie piastowskie nad Odrą, na Pomorze Zachodnie i Wschodnie. Zadanie zaszczytne, lecz trudne pociąga za sobą wielki i chlubny obowiązek wzmożonej i planowej aktywizacji i sublimacji życia kulturalnego we wszystkich jego kierunkach. Zbytecznym byłoby mówić tutaj o doniosłej funkcji, jaką spełnia teatr, operujący instrumentem najbardziej subtelnej i wymownej dydaktyki, najbardziej przekonywującą i sugestywną myślą, jaką tchnie prawdziwa sztuka, przepojona szczerym artyzmem, w której „świat i duch wieku może oglądać swą postać i piętno". O tej wielkiej roli teatru świadczy polemiczne wrzenie, jakie powstało wokół odradzającej się sceny polskiej. Od szeregu miesięcy na łamach różnych czasopism toczy się nieustanna dyskusja, utrzymana już to w tonie zaczepnej inwektywy chłoszczącej bezlitośnie korsarską politykę repertuarową, już to w stanie wyrozumiałej perswazji apelującej do ambicji, umiejącej pogodzić postulaty ideologiczno-artystyczne ze względami natury gospodarczej i technicznej.

Trzeźwy i przepojony głęboką troską głos mediatorów jest bliższy prawdy i słuszności, ponieważ zdala od czczej impertynencji i bombastycznych komunałów czerpie swą troskę bezpośrednio ze świeżej obserwacji i praktyki życia teatralnego, które przeżywa swój własny dramat dziejowego przełomu. Doświadczenie bowiem wykazało, że procesy kulturowe nie zawsze nadążają za ekonomiczno-społecznymi. Rutyna, szablon psychologiczny i nałogi myślenia, a więc to wszystko, co można nazwać wspólnym mianem instynktownego tradycjonalizmu, są silniejsze od najbardziej racjonalnych postulatów danej rzeczywistości. Łatwiej coś przebudować w sposób bardziej celowy i pożyteczny, niż nauczyć się nowej, ogólnej zasady tej rekonstrukcji. Moment zasadniczych przeobrażeń i rewolucyjnych wstrząsów uspasabia raczej do wahania i dezorientacji niż do stanowczości i decyzji.

Chaos i rozgardiusz repertuarowy w życiu naszego teatru we wszystkich najpoważniejszych ośrodkach, a również i w bydgoskim, był w ubiegłym sezonie zjawiskiem uzasadnionym i charakterystycznym. I nie będzie to wcale dowodem gorzkiego pesymizmu, jeżeli powiemy, że w nadchodzącym nowym sezonie nie może być jeszcze mowy o zupełnie planowej gospodarce teatralnej. Jak długo bowiem posiadamy tylko trzy teatry państwowe (Warszawa, Łódź, Katowice), jak długo przykład antycznej Grecji w zakresie państwowych subwencji pozostanie jedynie postulowanym wzorem i dopóki będziemy odczuwali niedosyt w naszej twórczości dramatycznej, oraz nie zostanie dokonany proces równomiernego rozprowadzenia skupionych przesadnie w niektórych miastach sił artystycznych, dotąd teoria nowego teatru nie zostanie konsekwentnie zrealizowana. Zawsze pozostanie w niej furta, przez którą nieraz wciśnie się ślepa intuicja, niefortunna improwizacja i „swoisty szaber" w postaci płytkiej komedii, naszpikowanej taniego wyrobu muzyczką. W istocie więc zagadnienie współczesnego teatru w nowym sezonie nadal sprowadzać się będzie do indywidualnych ambicji artystycznych i ideologicznego uświadomienia kierowników teatru. Będzie to dla nich okres wielkomówiącej próby, która może stać się sprawdzianem ich dojrzałości nie tylko zawodowej ale i społecznej. Na to bowiem, by nie tylko „grać i utrzymywać teatr", ale również wychowywać i kształcić rozbałamuconego lub też całkiem nowego i niewyrobionego widza, trzeba naprawdę mieć rozmach i odwagę twórczą, trzeba w pracy artystycznej zerwać z martwą rutyną i egoistyczną miernotą, unikać natrętnej łatwizny i konserwatywnej niemocy. **Przygotować** tradycyjnego bywalca teatru do delektowania się jedynie sztuką **czystą i piękną**, obudzić miłość do wysokowartościowego teatru wśród najszerszych i najniższych niegdyś warstw, przez nowy awans społeczny uprawnionych do równego korzystania ze wszystkich dobrodziejstw życia kulturalnego — oto najbliższe i najistotniejsze zadanie teatru w nadchodzącym sezonie. Rzecz naturalna, że schlebiając tradycyjnym gustom drogą taniego farsidła, niewybrednej operetki i pustej, banalnej komedyjki osiągnąć się tego nie da.

Teatr bydgoski, w którego dotychczasowym repertuarze prym wodziła komedia muzyczna, w nowym sezonie powinien w sposób bardziej zdecydowany zrzucić ten balast przeszłości, zerwać z przeciętnością i uczynić stanowczy krok ku teatrowi — szkole nowej kultury i nowej moralności społecznej. Wiemy, że w warunkach bydgoskich będzie to zadanie szczególnie trudne. Im bardziej jednak niedostępny cel, im większa odpowiedzialność kierownika sceny, tym większa jego zasługa. Miasto, w którym nierówny los zachował przed zniszczeniem wszystkie niemal domy mieszkalne, lecz nie oszczędził wspaniałego przybytku Melpomeny, rozporządza dwoma prowizorycznymi scenami (dawny teatr letni i sala TUR'u), które dotychczas starała się omijać elita naszego artystycznego świata. Tymczasem stopięćdziesięciotysięczna Bydgoszcz położona w środku między Zachodnim i Wschodnim Pomorzem, musi posiadać teatr reprezentacyjny o repertuarze i poziomie widowisk, odpowiadających jej misji kulturalnej, spotęgowanej nowym położeniem geopolitycznym kraju. W Bydgoszczy, w której, jak słusznie zauważa Henryk Szletyński, królowała przed wojną ku wielkiemu zadowoleniu mieszczaństwa operetka budapeszteńsko-wiedeńska (Odrodzenie nr 37, W perspektywie ślepego zaułka) wprowadzenie jednolitego, wielkiego repertuaru wywołać mogłoby „konsternację" wśród najgorliwszych dziś jeszcze bywalców teatru. Mówiąc więc o reprezentacyjnym teatrze i o poziomie widowisk mamy na myśli wartościowy repertuar eklektyczny, obejmujący w czasie jednego sezonu przynajmniej jedno arcydzieło z antycznego dramatu, a poza tym kilka utworów klasyków polskich i obcych, przeplatanych sztukami lżejszej treści, lecz prawdziwego talentu z niedalekiej przeszłości oraz ze współczesnej naszej dramaturgii, reprezentującej niekiedy nowe jej kierunki i dążenia (Świrszczyńska, Flukowski). Ambitny teatr powinien w czasie sezonu zdobyć się przynajmniej na trzy prapremiery, co przy naszym nawet kryzysie twórczości oryginalnej jest całkiem możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że nowe utwory niekoniecznie muszą być doskonałe, lecz powinny zdradzać pewien talent, który niewątpliwie należy zachęcić przez realizację sceniczną pierwszych jego płodów. **Nieobecność** błahych i przypadkowych sztuk, podyktowanych zazwyczaj „kasową fobią" będzie miernikiem **istotnej wartości teatru i świadomości zadań jego kierownictwa.**

Repertuar, przewidziany na nowy sezon przez dyrekcję bydgoskiego teatru, jest wyraźną zapowiedzią spotęgowania dobrej woli, choć nie dorównującej swą skalą wyżej nakreślonym postulatom. W nadchodzącym sezonie kierownictwo literackie obejmuje znany dramaturg i doświadczony człowiek teatru Adam Grzymała-Siedlecki. Oprócz wystawionych już **„Dam i Huzarów"** — Fredry mamy ujrzeć z t. zw. klasycznego repertuaru **„Marię Stuart"** — Słowackiego, **„Karpackich Górali"** — Korzeniowskiego, **„Pana Damazego"** — Blizińskiego, **„Grube Ryby"** — Bałuckiego. Ze współczesnego repertuaru przewidziane jest wystawienie **„Domu Kobiet"** — Nałkowskiej, **„Obrony Ksantypy"** — Morstina, nowej znanej już teatrom polskim komedii **„Zamach"** — Brezy i Dygata, **„Ci co wrócili"** — Mayena i **„Wyrok"** — Pepłowskiego. Poza tym projektowana jest prapremiera sztuki Adama Grzymały-Siedleckiego **„Wesele Pani Dubarry"** oraz **„Okno od ulicy"** — Borunia. Z repertuaru obcego ujrzymy, niewątpliwie w związ-



ZE SCENY BYDGOSKIEJ

„DAMY I HUZARY" W NOWEJ INSCENIZACJI

ku z festiwalem szekspirowskim, jedną ze sztuk wielkiego dramaturga, (najprawdopodobniej „Wieczór Trzech Króli"), potem **„Rewizora"** — Gogola, **„Madame Sans-Gene"** — Sardou, oraz jedną z komedii Scribe'a i Shaw'a.

Jakkolwiek powyższy repertuar nie został podyktowany brawurową dewizą „mierz siły na zamiary", to jednak stanowi on dowód szczerej ambicji dyrekcji teatru. Przy głębszej jednak analizie tego repertuaru i przy jego konfrontacji ze współczesną nam rzeczywistością uwidacznia się w nim przewaga raczej tendencji narodowych i czysto psychologicznych ze szkodą dla problematyki społecznej. Trzeba zawsze pamiętać, że trakt ideowy współczesnej cywilizacji prowadzi w kierunku wspólnoty narodowej, której fundamentem ma stać się jednolity i sprawiedliwy byt społeczny ludzkości. Wystąpienie zbiorowości, i co za tym idzie, prymat zagadnień społecznych nad indywidualnymi ambicjami poszczególnych narodów jest trwałym znamieniem naszej epoki. Toteż żadna instytucja publiczna nie może myśleć o biernym i kontemplacyjnym bycie na brzegu wzburzonego życia społecznego. Ponieważ zaś nie zjawił się jeszcze nasz wielki dramaturg, który pomimo nienarosłej perspektywy historycznej, mocą swego talentu potrafiłby w sposób nowy i świeży, zdala od surowego realizmu i programowej retoryki mówić o rzeczach aktualnych i żywych, pozostają przeto arcydzieła wielkiego repertuaru, własne i obce, operujące krzepką wymową analogii historycznych o charakterze społecznym, tchnących silniejszą i bardziej sugestywną myślą, niż utwory plagiatujące współczesną rzeczywistość.

Pozostaje jeszcze kwestia realizacji scenicznej, która może obudzić pewne obawy ze względu na to, że nowodobrany zespół opiera się przeważnie na młodych siłach artystycznych, w znacznej części absolwentach Bydgoskiej Szkoły Dramatycznej. Odczuwa się niedobór aktorów, predystynowanych do realizacji wielkiego repertuaru. Brak również stałych reżyserów, obeznanych z klasycznym dramatem. Młody, zdolny reżyser Tadeusz Muskat zaprezentował się dotychczas w komediach muzycznych, które nie powinny stanowić wyłącznej dziedziny jego specjalizacji. Realizacja scenicznego poważnego repertuaru spada więc na dyrektora Aleksandra Rodziewicza, który ponadto zapowiedział współpracę Zofii Modrzewskiej i Edmunda Wiercińskiego, znakomitego organizatora gry zespołowej i zwolennika gruntownego poznania autora i dzieła.

Mówiąc o młodym zespole bydgoskiego teatru bynajmniej nie chcieliśmy przez to powiedzieć, że nie doceniamy jego możliwości artystycznych, przeciwnie zgadzamy się tutaj ze słowami starego Horacjusza, który nie wierzył w bezwzględnie samorodny talent a widział perspektywy jego rozwoju w planowym kształceniu i systematycznej pracy. Jesteśmy przekonani, że przy starannym kierownictwie artystycznym powstanie w Bydgoszczy dobry, zgrany zespół, wychowany na najlepszych tradycjach sceny polskiej, która przez swój rzetelny i poważny stosunek do sztuki wydała niejedną, wielką indywidualność artystyczną.

Wierzymy głęboko, że Teatrowi Polskiemu w Bydgoszczy w rozpoczynającym się nowym sezonie uda się przezwyciężyć istniejące nadal trudności i unitis viribus seniorów i juniorów teatru odtworzyć arcydzieła wielkiego repertuaru i współczesnej dramaturgii w taki sposób, by stały się one dowodem nowej, twórczej tężyzny na polu sztuki i wyrazicielem nowych idei, nurtujących wśród postępowych sfer naszego społeczeństwa.

Quod bonum, faustum, fortunatumque sit...

Aleksander Dzienisiuk

SPRAWY BLIŻSZE I DALSZE

ROLA KULTURALNA OLSZTYNA

Wiadomo, że teren b. Prus Wschodnich, położony na północno-wschodnich peryferiach państwa, posiada stosunkowo słaby związek z większymi ośrodkami życia kulturalnego: Warszawy, Torunia, Bydgoszczy i Gdańska. Zdany jest przeto głównie na własne siły. Przed wojną rolę serca-motoru spełniał tutaj Królewiec. Obecnie gdy to miasto znalazło się poza granicami, dawną jego rolę musi przyjąć inne środowisko. Oczy nasze zwracają się odrazu na Olsztyn, obecną stolicę województwa. Olsztyn posiada kilka sprzyjających okoliczności: centralne położenie w stosunku do całości Mazur i Warmii, dogodne połączenie komunikacyjne, mniejsze od innych miast zniszczenie wojenne. W r. 1939 liczył 50 000 mieszkańców, obecnie — już 40 000. Siłą biegu wypadków jest teraz centrum administracyjnym i ośrodkiem dyspozycyj gospodarczych, nie posiada jednakże jeszcze zdefiniowanej funkcji kulturalnej. Ta sprawa wymaga szerszej analizy i dyskusyj. Dobrze więc byłoby, gdyby na ten temat wypowiedzieli się przedstawiciele miejscowego społeczeństwa. Nam wydaje się, że należy dołożyć wszelkich starań, ażeby Olsztyn stał się wielkim, ruchliwym i prężnym środowiskiem kulturalnym, które nie tylko promieniowałoby na cały północno-wschodni zakątek Rzpltej, ale potrafiło także ten teren uaktywnić i wciągnąć w wir ogólnopolskiego życia. Pracy w tym zakresie jest niesłychanie dużo, trzeba bowiem nie tylko iść z bieżącym nurtem, lecz równocześnie odrabiać tu wiekowe zaległości. Tak układają się obecnie stosunki, że wiele uwagi poświęca się Śląskowi i Pomorzu Zachodniemu, natomiast niejako poza kręgiem żywszych zainteresowań ogólnych pozostaje jeszcze ciągle ziemia mazurska i warmińska. Jest to niesprawiedliwe i szkodliwe, gdyż przyczynia się do martwoty tej połaci kraju, poza tym podcina wysiłki szeregu czynnych tutaj działaczy.

Olsztyn powinien w jak najkrótszym czasie stać się silnym ogniskiem naukowym, kulturalno-społecznym i artystycznym. W zakresie życia naukowego nie może wystarczyć Instytut Mazurski i wydział prawno-ekonomiczny jako ekspozytura Uniwersytetu toruńskiego. Wydaje się, że i w innych działach Uniwersytet Mikołaja Kopernika mógłby rozwinąć tu swoje agendy. Niedawno prof. Włodzimierz Antoniewicz, omawiając „geografię ośrodków kulturalnych" („Odra", nr 30) pisał: „Całkiem inny kierunek należy nadać ośrodkowi naukowemu w Olsztynie. Odrębność fizjograficzna i historyczna Prus nakazuje stworzyć tutaj poważne środowisko badań przyrody i kultury Prus i sąsiednich krajów lettolitewskich, oraz zagadnień mazurskich..." Obecnie, poza Instytutem Mazurskim i Instytutem Bałtyckim nie ma ani żadnego towarzystwa naukowego, ani instytucji, które zajęłyby się tymi żywotnymi zagadnieniami.

W zakresie życia kulturalnego i artystycznego poważniejszą pozycję zajmuje jedynie Teatr Miejski im. St. Jaracza. Jest rzeczą oczywistą, że nie jest on w stanie zaspokoić potrzeb kulturalnych nawet samego Olsztyna, nie mówiąc — o prowincji; muzyka, plastyka, życie społeczno-kulturalne są zaledwie w zarodku.

Wielkim okaleczeniem Olsztyna jest brak warsztatów pracy naukowej i kulturalno-oświatowej: archiwów i bibliotek. Wiele bezcennych rzeczy zniszczyło się w czasie wojny, wiele niestety wywieziono do Torunia i innych miast w głębi kraju. Warmia i Mazury pozostały w tym zakresie niemal ugorem. Stworzenie nowych warsztatów jest rzeczą bardzo palącą, bo tylko tą drogą zdoła się ściągnąć ludzi do twórczej pracy na tym terenie.

Może powyższe krótkie uwagi spowodują szersze omówienie zagadnienia roli Olsztyna.

A. B.

O LOJALNOŚĆ WOBEC KASPROWICZA

Minęło właśnie dwadzieścia lat od śmierci Kasprowicza. Zdawałoby się, że rocznica ta da asumpt co wytrawniejszym naszym krytykom do należytej oceny jego twórczości. Ale u nas bywa inaczej. Kasprowicz — jak to zwykle się dzieje z wielkimi — dotychczas spoczywał niemal w lamusie w myśl ustalonej zasady: „świętości nie szargać". Nie pomyślał nikt o tym, aby wydobyć go na światło dzienne w pełni jego zalet i wad, zwyczajnych u człowieka, który z trudem piął się na najwyższe szczeble artyzmu i w łamaniu się z samym sobą i z światem zdobywał swą prawdę wewnętrzną. Znaleźli się tylko tacy, którzy widząc, że nikt nie umie, czy nie chce ustalić pozycji Kasprowicza w naszej literaturze, postanowili odmówić jego poezji wszelkiej wartości. Stary to zresztą nasz nawyk, że z jednej skrajności wpada się w drugą.

Tym razem jednak przeholowano. Zwłaszcza dlatego, że jednocześnie można było spostponować Wojciecha Bąka, poetę najbliższego dziś w Polsce tematyką Kasprowicza. A Bąk bądź co bądź żyje jeszcze, więc gra o Kasprowicza się opłaca. Tak więc Bąka ubija się Kasprowiczem. Niech jednak żywy sam się obroni (przypuszczam, że mu się to uda), tu chodzi jednak o jeden z dotychczasowych filarów naszej literatury. Krytyków wzywam do zajęcia w tej sprawie stanowiska. Lecz pomijając meritum kwestii, chciałbym zwrócić uwagę na dziwną nielojalność ludzi atakujących Kasprowicza.

Poeta ten wyszedł z środowiska chłopskiego. Odrobienie — zwłaszcza lat temu kilkadziesiąt — wszystkich zaległości kulturalnych nie przychodziło chłopom zbyt łatwo. Z każdej też biografii Kasprowicza wiadomo, ile trudności miał on do przezwyciężenia w niemieckiej szkole. Nic dziwnego, że twórczość poety dojrzewała wolniej niż normalnie, że zmuszony był on do zmagania się z samym językiem, z formą i z treścią.

Łatwo zarzucić Kasprowiczowi również grafomonię. Nie potrzeba nawet sięgać do wczesnych jego poezji — do obrazków z życia wiejskiego Wystarczy może zacząć jeszcze od wierszy pisanych w szkole. Są nawet—mogę zapewnić wszystkich — grubo nieporadniejsze. Ci, którzy Kasprowicza chcą mierzyć podobnymi kryteriami, widocznie wyskoczyli z mózgu Zeusowi. Ale nawet ,gdyby tak było, nie przynieśli z sobą na świat umiejętności posługiwania się rzetelną metodą krytyczną.

pzb.

PRAWDA O SZTUCE NA POMORZU

Pomorze z trudem, przezwyciężając dawną swą bierność kulturalną, wywalcza sobie należne mu miejsce w całokształcie polskiego życia kulturalnego. Niedocenianie nazewnątrz stara się przede wszystkim o pozyskanie sztuce szerokich rzesz konsumentów. Artyści, najczęściej pozbawieni pomocy, w trudniejszych warunkach niż gdziekolwiek, bezinteresownie niemal poświęcają się tej idei i uzyskali już nienajgorsze wyniki. Powoli przełamuje się zaporę zapomnienia i milczenia otaczającą ruch artystyczny Pomorza, tak iż — miejmy nadzieję — ta część Polski staje się równorzędnym partnerem dla innych środowisk, bogatych nawet w tradycje kulturalne.

W imię tak pojętej służby dla sztuki—najostrzej przeciwstawiamy się wszelkim próbom rozbicia jednolitego frontu naszej akcji społeczno-kulturalnej. Nie pozwolimy na sztuczne stwarzanie antagonizmów wewnętrznych i na wyżywanie się pewnej kategorii ludzi na gruncie ambicji osobistych. Nie potrzebujemy na Pomorzu stolic kulturalnych, — jakby pragnęli niektórzy, — chcemy by sztuka stała się dobrem powszechnym, aby zarówno kwitła w największym mieście jak i w najdrobniejszej wsi i aby to była sztuka łącząca wszystkie środowiska na wspólnej platformie kultury polskiej.

I jak zwalczamy nieodpowiedzialne głosy niedowarzonych głów, pragnących dać Pomorzu zamiast rzetelnego teatru lichą operetkę i zamiast muzyki przebój sezonowy, tak prostować będziemy również mylne sądy o ciężkiej, lecz owocnej pracy pomorskiego artysty. Ogromny wzrost czytelnictwa na Pomorzu, liczne wystawy plastyki, dobre orkiestry, niezwykłe wysiłki teatru, osiągnięcia na polu literatury i setki imprez artystycznych we wszystkich miejscowościach, mówią zresztą same za siebie. Jakże jednak trud artystów ma być doceniony przez innych, jeśli nie doceniamy się sami?

Al K.

KRONIKI PRZEGLĄDY SPRAWOZDANIA

NA MARGINESIE „DNI TORUNIA"

Na początek bieżącego sezonu kulturalnego w Toruniu przygotowało się tyle wydarzeń nie codziennej miary, że kto wie, czy nie to właśnie dało asumpt ludziom dobrej woli i rzutkiej energii by to wszystko skondensować na przestrzeni jednego tygodnia, by ten ładunek kulturalny jeszcze podwoić i potroić — jednym słowem zorganizować „Dni Torunia". Jakakolwiek była zresztą geneza przedsięwzięcia, cel był widoczny i bezsporny: wśród honorowych salutów armatnich i bicia dzwonów kościelnych obudzić echo przeszłości starożytnej „Civitas Thorun", ukazać piękno tego miasta zabytków i godność ośrodka uniwersyteckiego.

W sklepionych izbach gotyckiego ratusza otwarto więc na nowo po wojnie urządzone muzeum. Wystawiono narazie część zbiorów — przede wszystkim najszacowniejsze okazy rzeźby gotyckiej. 3 sale starannie urządzone dobrze spełniają postulaty poglądowości i estetyki. Uniknięto przeładowania a przez to anachronizmu zbyt bliskich zestawień, rozmieszczono eksponaty tak, że „nie przeszkadzają sobie" wzajemnie, a często — szczególnie jeśli chodzi o rzeźbę gotycką — wśród starych murów i nawisłych sklepień wyglądają jak konieczne uzupełnienie architektury.

Obok, w sali gdzie ma się mieścić w ramach muzeum wystawa broni, urządzono wystawę druków toruńskich. Obrazuje ona rozwój drukarstwa toruńskiego od drugiego druku (pierwszy zaginął podczas wojny) z 1569 r. do ostatnich książek i najświeższych pism. Poza tym działem zasadniczym ukazano najbardziej osobliwe dokumenty ze zbiorów Archiwum Miejskiego, książki o Toruniu, kopernikiana, okazy ze zbiorów toruńskich bibliofilów itd. Alfabetyczny spis drukarzy, introligatorów, litografów i chemigrafów wywołuje asocjacje dawnych cechowych tradycyj tego pełnego godności i szlachetnego zawodu.

W gmachu ratusza otwarto jednocześnie ciekawą wystawę fotograficzną „Piękno Torunia" a przy ul. Chełmińskiej wystawę plastyków.

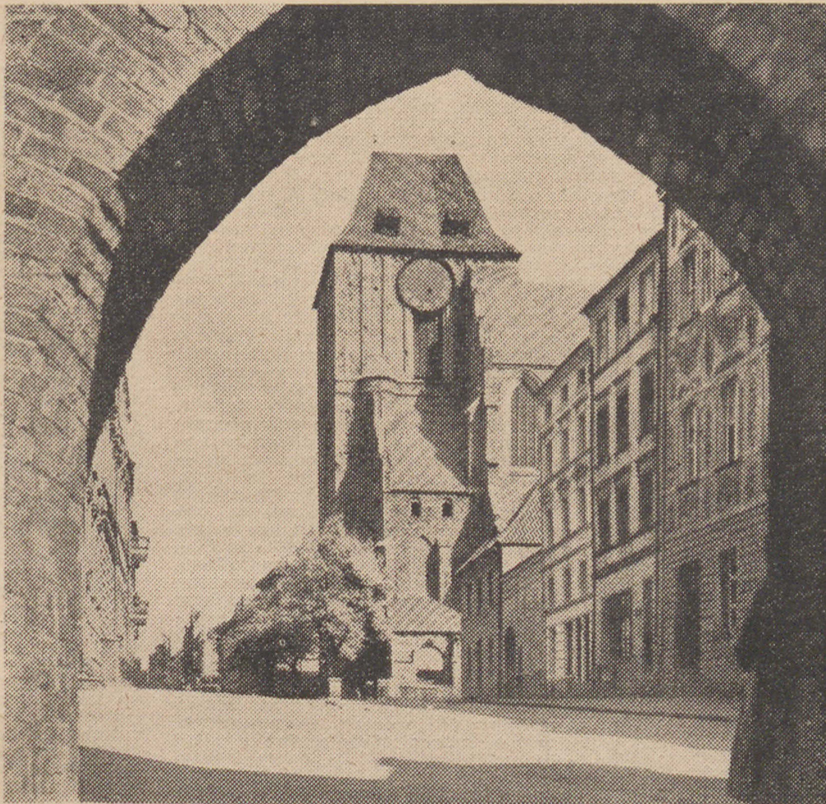
Teatr Ziemi Pomorskiej ukazał w ramach „Dni Torunia" prapremierę sztuki A. Swirszczyńskiej „Orfeusz", o czym szczegółowe sprawozdanie w niniejszym numerze Arkony.

Cykl wykładów o Toruniu dał obraz historycznej i kulturalnej przeszłości miasta. Warto przytoczyć chociażby tylko tytuły: Pokój toruński w 1466 r." prof. dr K. Górski; „Toruń — miasto Zabytków" dr J. Puciata-Pawłowska: „Toruń — stolica Księstwa Warszawskiego" prof. dr Br. Pawłowski; „Toruń średniowieczny i renesansowy" M. Sydow; „M. Kopernik" prof. dr Dziewulski; „Archiwum w Toruniu" H. Piskorska; „Jak Toruń rządził swoimi dobrami" prof. Koranyi; „Muzeum" mgr H. Załęska.

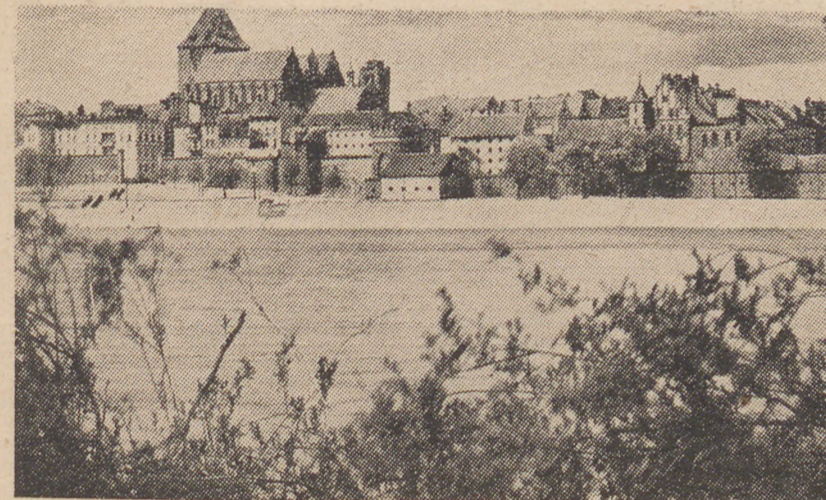
Taki jest zasadniczy zrąb „Dni Torunia" rozpoczętych uroczyście mszą polową odprawioną przed ołtarzem ustawionym na tle ratusza. Włączono do programu „Dzień Spółdzielczości", wciągnięto wojsko, młodzież, harcerstwo. Były oczywiście poza tym mecze sportowe, kiermasz na Starym Rynku, występy chórów, baletów, popularne przedstawienia i rewie. To gorsze, że różne „Rewie na wesoło" i „Werble domowe" odbywały się na dziedzińcu ratuszowym i to na tle dekoracji profanujących stare mury. Piękny niewielki podwórzec ratuszowy z czterech stron zamknięty i doskonale akustyczny, cudownie nadaje się do organizowania widowisk i koncertów — ich program i forma powinny być jednak niezwykle starannie opracowane i nie kolidujące z dostojnym otoczeniem.

Reasumując — „Dni Torunia", pomimo pewnych usterek, zresztą prawie nieuniknionych w każdym większym przedsięwzięciu, pięknie zareprezentowały walory miasta, liczącego przeszło 700 lat swej historii.

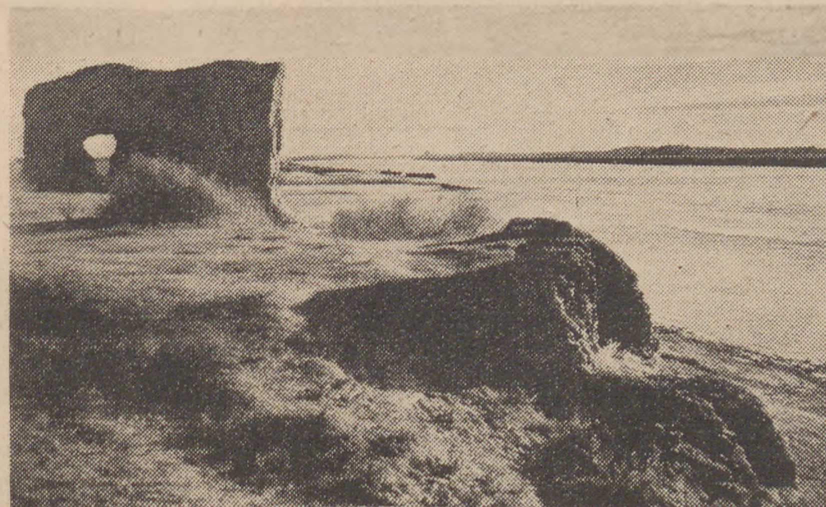
A. Chycz.



NAJSZACOWNIEJSZY Z ZABYTKÓW TORUNIA: ŚW. JAN



WIDOK, KTÓRY WITA PRZYBYWAJĄCYCH DO MIASTA



RUINY WZNIESIONEGO W 1432 R. ZAMKU NAD WISŁĄ.

*

Zamierzenia organizatorów „Dni Torunia" szły w dwóch kierunkach: akcji propagandowej na zewnątrz oraz podciągnięcia pewnych dziedzin życia miejscowego do poziomu godnego tradycji miasta. Podsumowanie wyników akcji propagandowej nie należy do nas; ta sprawa wkracza w sferę finansowo- gospodarczą i jej ujęcie cyfrowe, o ile jest możliwe, zainteresuje przede wszystkim samych toruńczyków.

Lecz jak się przedstawia rzecz, jeżeli chodzi o wyniki akcji wewnętrznej? Otóż sama myśl odrobienia choćby doraźnego niektórych zaległości stała się w Toruniu dzięki „Dniom Torunia" bardzo popularna. Zrobiono po prostu coś w rodzaju „rachunku sumienia", poruszono indywidualną i zbiorową ambicję i dokonano tego, że miasto nasze bez ujmy mogło przyjąć swych gości.

W zakresie estetyki wystaw sklepowych uczyniono najwięcej. Kupiectwo dużo poświęciło starań, by godnie wystąpić. Zadanie to było o tyle ułatwione, że plakat „Dni Torunia", projektowany przez J. Kozłowskiego, ujęciem wysoce dekoracyjnym nadawał się znakomicie do ozoby okien wystawowych. Skorzystano też wydatnie z takiej pomocy i plakat wraz nalepkami (stylizowany herb Torunia) był w te dni głównym składnikiem wystaw sklepowych, m. in. też jednego z okien Księgarni Naukowej T. Szczęsny i Ska, która w konkursie wystaw wzięła pierwszą nagrodę.

Do dawnych tradycji sięgnęła Apteka Radziecka, wystawiając swój przywilej pergaminowy z czasów Jana Kazimierza (r. 1649), ozdobiony czerwonymi pieczęciami wojskowymi. Ten przykład winien podziałać zachęcająco na tych kupców i przemysłowców, którzy posiadają jeszcze pamiątki z dawnych czasów. Mamy nadzieję, że przyszłoroczne „Dni Torunia" pokażą naszym gościom więcej tych rzeczy.

W tym względzie dały dobry przykład Zakłady Wytwórcze „Społem", rzucając na rynek historyczne pierniki toruńskie. Tym sposobem wznowiono tradycję artystycznie wykonanego miodownika, niegdyś sławy Torunia. Z inicjatywy Muzeum Miejskiego wystawiło Zjednoczenie Państw. Przemysłu Piwowarskiego na „kiermaszu średniowiecznym" tradycyjną „Grubą Marynę" (Bachusa siedzącego na beczce), choć w nieco zmienionej postaci.

A propos kiermaszu. Dość liczne były głosy, że kiermasz zawiódł, że wyglądał chudo, itp. zarzuty. Prawda, że ilościowo, mierząc liczbę stoisk, nic dopisał. W zamiarze inicjatorów było zapełnienie Rynku Staromiejskiego do połowy, tj. od strony poczty i przy Hotelu Pod Trzema Koronami. Cóż, kiedy było zamało zgłoszeń. Kiedy pierwsze lody przełamano i kiedy trzy kwartały mamy przed sobą, by wszystko przygotować należycie, z pewnością sprawa na przyszłorocznych dniach będzie postawiona lepiej.

W każdym razie coś z atmosfery średniowiecza było na kiermaszu. Naszym zdaniem najtrafniej rozwiązał problem „Rzut", rozkładając swe wyroby pod lekkim namiotem, całkiem pierwotnej konstrukcji. Także stoisko „Społem" było w stylu (rodzaj chaty ze stromym dachem, krytym trzciną). Zresztą każde niemal stoisko miało godło w formie artystycznie wykonanej wywieszki. Przy tej sposobności wznowił dawną tradycję „Dwór Artusa", wywieszając kute w metalu godło swej restauracji.

Charakterystyczny objaw, że tłumy gromadziły się przed stoiskiem — astrologa. To było zupełnie w stylu średniowiecza. I mówią niektórzy, że kiermasz się nie udał...

W malownicze stroje renesansowe przybrani halabardnicy miejscy dodawali splondoru pewnym momentom uroczystości, jak otwarciu wystaw w ratuszu i odsłonięciu tablicy na domu Kopernika. Wieczory dawały wrażenie niecodzienne rzęsistym oświetleniem wybitniejszych zabytków miasta: ratusza, Łuku Cesara i leżącego na uboczu kościoła św. Jakuba, którego fasada o surowej powadze nabierała mistycznego życia w blasku reflektorów...

Marian Sydow.

Wystawa akwarel

Toruński oddział Związku Polskich Artyst. Plastyków wziął udział w „Dniach Torunia" wystawą awkarel rysunku i grafiki, która dzięki ożywionemu ruchowi turystycznemu w mieście cieszyła się dużym powodzeniem. Wystawa nosiła charakter imprezy raczej dorywczej, zorganizowanej ad hoc, mimo to potrafiła skupić cały szereg ciekawych pozycji. Spośród wystawionych prac artystów toruńskich i olsztyńskich prac, z wyżej podanego zakresu (nietylko ilościowo) wysuwa się na czoło dorobek prof. Tymona Niesiołowskiego, który w swych akwarelach (przede wszystkim kwiaty i pejzaże) oraz interesujących szkicach piórkowych przedstawił najpoważniejsze osiągnięcia artystyczne, nasuwające myśl urządzenia (wraz z pracami olejnymi, oglądanymi na minionych przeglądach) wystawy zbiorowej — tej ciekawej indywidualności malarskiej. Prof. B. Jamontt wystawił 4 prace (2 rysunki, akwarela, tempera), prof. Dargiewicz cykl rysunków portretowych, art. mal. Z. Tomkiewicz 4 akwarele (krajobrazy), prof. J. Hoppen wystąpił z dwoma grafikami.

Ponadto w wystawie wzięli udział: C. Kowalski, S. Miller, H. Skurpski, K. Waluk i J. Zielińska, przedstawiając dość nierówne osiągnięcia artystyczne.

mit.

Z estrady koncertowej

Lipiec i sierpień nie dały niestety Toruniowi prawie żadnych uwagi godnych imprez muzycznych. Pustka była jeszcze większa niż wiosną tego roku. Szkoda — bo bliskość poważnych imprez muzycznych sąsiedniej Bydgoszczy aż prosiła się o wykorzystanie pobytu artystów w tym mieście i zaproszenia choć kilku do Torunia. Zupełny brak planowej organizacji naszego publicznego życia muzycznego w dalszym ciągu hamuje poważnie rozwój naszej kultury muzycznej. Biura Koncertowego w dalszym ciągu w Toruniu brak, a imprezy muzyczne, zwłaszcza urządzane przez artystów zamiejscowych są raczej dziełem przypadku.

Dopiero pod koniec sierpnia odbyła się impreza wedle zapowiedzi poważniejsza, w rzeczy samej, jak się okazało, mniej wartościowa. Młody skrzypek, Romuald Rutkowski, któremu afisz dał mocno obowiązujący tytuł wirtuoza wystąpił z recitalem w Teatrze Miejskim (przy słabej frekwencji publiczności). Recital nas rozczarował. Skrzypce słabo brzmiące, program mało ciekawy; przy tym Rutkowski wykazywał szereg poważniejszych braków szczególnie prawej ręki. Gra jego efekciarska, mało pogłębiona rytmicznie i agogicznie nieopanowana. Artysta ten musi jeszcze sporo popracować i to gruntownie, aby zasłużyć na miano wirtuoza.

Druga impreza z tego okresu to recital śpiewaczy Jerzego Gardy. Ten artysta w pełni potwierdził bardzo dobrą opinię, jaka się o nim przed koncertem do nas dostała. Przedstawia on wysoką klasę wokalną i interpretacyjną. Przyjęty został przez tym razem licznie zebraną publiczność, gorąco. Akompaniował dobrze St. Dzięgielewski.

Urządzony z początkiem września wieczór baletowy uczniów toruńskiej szkoły baletowej Pfianz-Dróbeckiej nie wniósł ani programem ani poziomem wykonawczym dużo nowego do dotychczasowego dorobku tego młodego zespołu.

Poza tym cisza. „Dni Torunia" stosunkowo słabo się przedstawiły. Z imprez godnych uwagi wymienić należy tylko bardzo udane występy naszych chórów: „Lutnia" pod dyr. L. Rutkowskiego oraz Chóru Rzemieślniczego „Dzwon" który pod kierownictwem prof. J. M. Wieczorka wykonał szereg pieśni ludowych o Toruniu. Te na wysokim poziomie interpretacyjnym postawione imprezy ratowały honor muzyczny Torunia w czasie „Dni". Poza tym nie usłyszeliśmy ani poważniejszych produkcyj orkiestralnych ani solowych.

Dwukrotny występ baletu Parnella (już czwarty w bież. roku w Toruniu) w ramach „Dni Torunia" był chyba nieporozumieniem i powinien był być zastąpiony przez właściwsze i artystycznie wyższe imprezy.

Koncert utalentowanych dzieci i młodzieży szkolnej, zorganizowany przez Kuratorium O. Sz. Pomorskiego — przypadkowo raczej wkleszczony w ramy „Dni" miał na celu wyłowienie muzycznie utalentowanych dzieci i młodzieży (do lat 24), szczególnie zamieszkałych na głębszej prowincji, zachęcać je do nauki muzyki, dopomagać przez stypendia, nagrody itp.

Założenie godne uznania i poparcia. Jest to szczególnie aktualne u nas na Pomorzu, gdzie „na prowincji" w dość znacznej mierze muzycznie uzdolniona młodzież swoje możliwości artystyczne marnuje dla braku dostatecznej ilości szkół muzycznych u nas wzgl. z powodu niemożności odbycia nauki muzyki w środowisku posiadającym uczelnię muzyczną. Konkurs ten — pierwszy tego rodzaju nie tylko na Pomorzu, ale w ogóle w Polsce — ma odtąd odbywać się corocznie. Doświadczenia z tego pierwszego, zresztą zupełnie udanego „koncertu" zapewne pozwolą w przyszłości na pewne modyfikacje i ulepszenia. Zdaniem naszym do ostatecznego konkursu dopuścić się winno tylko utalentowaną młodzież, która z powodu ciężkich warunków materialnych wzgl. z innych poważnych przyczyn nie jest w stanie kształcić się muzycznie i jej właśnie umożliwić regularną naukę muzyki, a nie stawiać „Janka Muzykanta" z głębokiej wsi na równi z fachowo szkolonym uczniem średniego czy wyższego kursu szkoły muzycznej i jednakową miarą ich oceniać. Dla przyszłości naszej kultury muzycznej także wyławianie talentów będzie miało m. in. i tę dobrą stronę, że te wybrane talenty, nagrodzone stypendiami, będzie można skierować na naukę tak bardzo u nas zaniedbanych instrumentów, jakimi są wiolonczela, instrumenty dęte, drewniane i blaszane. Odciąży się tym samym przeładowane klasy fortepianu i stworzy tak potrzebne kadry instrumentalistów grających na wspomnianych instrumentach.

Pierwszy konkurs spotkał się z wielkim zainteresowaniem młodzieży. Spośród przeszło siedemdziesięciu zgłoszonych wyeliminowano do ostatecznego konkursu i nagrodzono szesnaście kandydatów, podzielonych na klasy śpiewu, fortepianu, skrzypiec i akordeonu.

O naszym szkolnictwie muzycznym — następnym razem.

Leon Witkowski.

Prapremiera „Orfeusza"

Dni Torunia nie miały zasadniczo charakteru uroczystości. Były one pomyślane jako pewnego rodzaju całotygodniowe widowisko dla mas, w którym elementy powagi i skupienia raz po raz ustępowały pogodnym i nawet żartobliwym nastrojom. „Orfeusz" Anny Świrszczyńskiej będący jednym z ważniejszych wydarzeń tego tygodnia, doskonale harmonizował z całością programu, właśnie wskutek tego, że autorka złączyła tu z głębokim sensem — jak sama mówi — sprawy „nieuleczalnie ciężkie i nieuleczalnie lekkie".

Orfeuszów w mitologii greckiej było wielu. Tajemna, mistyczna nauka orficka i misteria orfickie podlegały w starożytności takim przeobrażeniom, że nie potrzebujemy się dziwić jeszcze jednej nowej ich postaci. Orfeusz u Świrszczyńskiej nie jest wprawdzie pieśniarzem, posiada jednak nieprzeparty urok tego idealnego artysty, a znane z mitologii przygody jego stanowią akcję sztuki. Poza tym jednak Orfeusz ukazuje nam się w drugim swym starożytnym wcieleniu jako filozof, jako cudotwórca, u którego racjonalizm zlewa się w jedność z mistycyzmem i jako pewnego rodzaju „zbawiciel" świata chorującego na chroniczny niepokój spowodowany wieczną antynomią ducha i materii.

Problemy orfickie nie wygasły wraz z misteriami starożytności, toteż bohater Świrszczyńskiej, przekonywująco tłumaczący fakt poskromienia lwów, jest człowiekiem do gruntu nowoczesnym. I niech nikogo nie łudzi jego stylowo nienaganna chlamida, w której zresztą widzimy go zarówno w piekle, jak i w domu. Sztuka, gdzie potrzeba, oddaje dostatecznie ducha antyku, nie zapomina się jednak nigdy, że autorka tylko dlatego opiera się na sztafażu mitologii, żeby podkreślić długowieczność ponadczasowych zagadnień. Nie razi nas więc zarówno wprowadzenie w akcję na jednej płaszczyźnie dionizji — wypaczenia kultu orfickiego oraz wyroczni delfickiej jak i kawiarni, w której grecy delektują się mokką i amerykańskimi papierosami.

Problematyka sztuki Świrszczyńskiej jest ambitna, głęboka i wszechstronna. Można by tu dopatrywać się nawet zbyt wielkich ambicji, na skutek czego zaciera się jednolitość światopoglądu reprezentowanego przez autorkę i splata się w trudny do rozwiązania węzeł istotny sens tego trzygodzinnego widowiska. Orfeusz zdawałoby się walczy tylko z śmiertelnym niepokojem wszelkiej doczesności i pragnie radością, będącą emanacją prawdziwej wiedzy o świecie i zaświatach, zwalczyć śmierć oraz zło powstałe z lęku przed śmiercią. Ale autorka posiada niewiadomo, czy wadę, czy zaletę — właściwą poetom, że wszelkie zagadnienia mają dla niej równie wysoką, najwyższą wagę, co w rezultacie zaciera główne wątki myślowe i niesłychanie komplikuje dramat Orfeusza. Tak więc przewijają się przed nami w toku akcji postaci, z których każda na swój sposób usiłuje znaleźć szczęście i uspokojenie. Oto Eurydyka zakochana jest w śmierci i zapomnieniu, Persefona w życiu i pamięci, bezimienny starzec głosi rezygnację, menady zaś żyją w wiecznym buncie przeciwko zwykłemu porządkowi świata. Wśród tych kontrastów Orfeusz — początkowo człowiek silny i prostolinijny — zaczyna się gubić, ulega zwątpieniom i tym tylko podtrzymuje mit swej wielkości, że nadal walczy na straconej placówce. Okazało się, że obalał on dawne nawyki metafizyczne w imię innej metafizyki, a jego wiara w zlanie się ducha i materii w jeden stop, nie wytrzymuje próby życia i śmierci.

Świrszczyńska z pasją operuje paradoksem. To sprawia, że w sztuce kłębią się oprócz uprzednio wymienionych przeróżne inne problemy: winy i kary, miłości i cierpienia, świętości i zbrodniczości, ślepego losu i zbawienia świata. Nie daje to odetchnąć widzowi, który nie nadąża za zawiłością dyskusji. Poetycki styl autorki święci tak częste triumfy, że aż staje się to do pewnego stopnia szkodliwe dla całości sztuki, słuchacz może się bowiem delektować poszczególnymi scenami a nawet wypowiedziami tak jak samoistną liryką. Za to humor nie jest przekonywujący, wywołują go bowiem najczęściej nowoczesne akcesoria sztuki w połączeniu z rozmową o rzeczach w porównaniu z wielkością problematyki błahymi, a przez to śmieszącymi tylko pośrednio.

Wilam Horzyca stonował wspaniale całość widowiska i nadał mu formy monumentalne, na które rzecz ta istotnie zasługuje. Artyści dostosowali się w pełni do charakteru sztuki i ani Gołębiowski w roli Orfeusza, ani Maślińska jako Eurydyka czy posągowa Persefona-Freitażanka lub Hermes-Salaburski nie starali się wyłamać z ram gry zespołowej. Dekoracja Torwirta swą prostotą rozmachu uspokajały gorączkowo pracującą wyobraźnię widza. Harmonizowała z nimi muzyka Kisielewskiego która świetnie wyłaśniała sytuacje i nawet potrafiła rozwijać akcję na pustej scenie.

Premierowa publiczność toruńska przemęczona przygotowaniami do „dni Torunia" nie niepokoiła specjalnie aktorów ani autorki w antraktach i po opadnięciu kurtyny, krzywdząc ich mocno, bo i sztuka i gra i reżyseria zadowolić mogły najwybredniejsze umysły.

Kow.

BYDGOSZCZ

Nowe „środy literackie"

Pomorski Dom Sztuki, w którym w czasie lata odbywały się na ogół tylko imprezy muzyczne, otworzył znowu podwoje dla licznych bydgoskich miłośników literatury. Klub Literacko-Artystyczny rozpoczął jednak tym razem sezon odczytowy — jakgdyby dla podkreślenia swej troski o całokształt spraw kultury artystycznej — prelekcją Wilama Horzycy na temat „rodowodu teatru polskiego". Była to już trzydziestaósma z kolei Środa Literacka w Bydgoszczy, która jak zwykle zgromadziła w wielkiej sali Pomorskiego Domu Sztuki liczne rzesze publiczności, wykazującej żywe zainteresowanie dla wyjątkowo dziś aktualnych zagadnień teatralnych. Publiczność ta nie zawiodła się w swych oczekiwaniach. Horzyca przedstawił bowiem wszechstronnie tak dzieje polskiego teatru, jak i te wszystkie czynniki kulturalne, które nadały naszej literaturze scenicznej jej odrębne oblicze.

Najcenniejsza, choć niewątpliwie w pewnej mierze nacechowana subiektywizmem, była ta część prelekcji Wilama Horzycy, w której z dotychczasowej linii rozwojowej naszego teatru monumentalnego wysnuł on wnioski dotyczące przyszłości tej dziedziny sztuki w Polsce. Perspektywy te nie mają wprawdzie posmaku nowości, być może jednak, że kontynuacja wzorów wiodących od Kochanowskiego poprzez trójcę wieszczów aż do Wyspiańskiego i Micińskiego przyczyni się do renesansu teatru w Polsce. Ma to być — zdaniem Horzycy — scena narodowa, odpowiadająca charakterowi polskiemu i dobywająca na jaw osobowość człowieka, ukazana na tle wielkich konfliktów społecznych i politycznych. Zaletą tej prelekcji było podejście do tematu ze stanowiska człowieka teatru. W wywodach Horzycy wyczuwało się wytrawność

rzetelnego fachowca, to też odczyt był dla słuchaczy ze względu na oryginalność ujęcia niezwykle pożyteczny.

Następnym gościem Pomorskiego Domu Sztuki był Wojciech Bąk, który przedstawił tutejszym zwolennikom poezji twórczość swą z okresu wojny i pierwszego roku niepodległości. Bąk w wierszach swych hołduje intuicji i mistycznemu przeżyciu, nie opisuje on świata, lecz swoistą magią słowną usiłuje zaklinać otaczającą go rzeczywistość. Poezja taka fascynuje łatwością metamorfoz, atmosferą cudowności i frapuje kontrastami, tym bardziej, że Bąk potrafi nagiąć do swego metafizycznego widzenia świata również tematykę aktualną. Rzeczą osobnej rozprawy byłoby rozstrzygnięcie, czy liryzm takich wierszy, wypływający z irracjonalnej dynamiki twórczej jest prawdziwy, czy też, jak chcą niektórzy — posiada wartość emocjonującego wprawdzie, lecz łudzącego tylko niewtajemniczonych gestu czarodzieja. Jeśli wziąć pod uwagę sąd przeciętnego słuchacza, wyrok wypadłby raczej na korzyść Bąka.

Czterdziestą wreszcie Środę Literacką wypełniła prelekcja prof. Konrada Górskiego, który mówił „o charakterze narodu polskiego w oczach polskich pisarzy". Prelegent zebrał tu i skomentował szereg mniej lub więcej znanych wypowiedzi o cnotach i wadach polskich z wszystkich okresów naszej literatury. Oczywiście był to przegląd niekompletny, mimo to można było już na podstawie tych — szczupłych raczej — danych stwierdzić, że piśmiennictwo polskie nie odznacza się bezkrytycyzmem, lecz raczej starało się zawsze być czynnikiem postępu lub przynajmniej swą postawą moralizatorską wzywało do naprawy istniejących stosunków. Prof. Górski zakończył odczyt własną oceną charakteru polskiego, zaznaczając, że liczne nasze wady były zawsze równoważone przez poszanowanie człowieka i umiłowanie wolności. Moim zdaniem ta ostatnia nasza zaleta posiada również swe złe strony, prowadzi bowiem niekiedy do warcholstwa, prof. Górski chciał jednakże prawdopodobnie podkreślić niezwykłą doniosłość tych momentów, które dzięki umiłowaniu wolności prowadzą naród do jedności.

W sumie imprezy Klubu Literacko-Artystycznego przyczyniają się ogromnie do ożywienia życia kulturalnego w Bydgoszczy, poruszane tu bowiem sprawy zmuszają do zastanowienia i do przemyślenia wielu aktualnych zagadnień oraz dostarczają tematu do pożytecznej dyskusji.

Al K.

W „Teatrze Polskim"

„Szczęśliwymi dniami" Puget'a najprawdopodobniej zakończył Teatr Polski w Bydgoszczy swe „szczęśliwe dni" długich wywczasów w ponętnej krainie lekkiej komedyjki francuskiej i swawolnej amerykańskiej farsy, upstrzonej rodzimego wyrobu muzyczką. Szósta z kolei premiera z repertuaru „kasowych" sztuk sprawiła zawód i to zarówno dla widza, jak też i dla dyrekcji teatru. Mierna płycizna i błyskotliwa błahostka nie zawsze potrafią kokietować owego tradycyjnego bywalca teatru, który mimo swej szczególnej inklinacji do pewnego rodzaju widowisk, posiada dziś bardziej wyostrzony zmysł krytyczny i nie da się zwodzić byle komedią muzyczną.

Tymczasem komedia Puget'a łączy w sobie zawstydzającą banalność fabuły z nierówną i niejednolitą tonacją, przeskakującą od farsowej krotochwili do melodramatu, — od groteski i pustej anegdoty do podniosłej uczuciowości i ckliwego sentymentalizmu. Treść sztuki stanowią miłosne, sztubackie perypetie, wzruszające swą naiwną i niedbałą psychologią, irytujące wprost nużącą jednostajnością i ubogim konceptem. Kompozycja utworu, odznaczająca się dość staranną ekspozycją, kończy się właściwie z chwilą zawiązania intrygi, której przeprowadzenie i rozwiązanie rozłazi się najwidoczniej pod piórem autora, nie mogącego dać sobie rady z fabułą przy jednoczesnym zachowaniu komediowego charakteru sztuki. Natrętna vis comica poprzez pełen dramatycznego wstrząsu zgrzyt spycha w końcu autora na drogę bezceremonialnego szablonu, w którym szczęśliwy, młodociany Don Juan staje się w ciągu jednego wieczoru trzykrotnym zdobywcą serc. Te „wędrówki miłosne" stanowią istotną treść komedii i cel literackiego przedsięwzięcia, które jakże często budzi u widza przykre uczucie niesmacznego zdziwienia i pobłażliwego politowania. Wesoły nastrój na widowni podczas melodramatycznych lub podniosłych fragmentów stanowi najbardziej wymowny dowód dyskwalifikacji widowiska, rozbrajającego swą jałową, płytką i ubogą treścią.

Opracowanie sceniczne w wykonaniu Tadeusza Muskata i Bronisława Kassowskiego nie zawsze umiało zachować niezbędne granice subtelności artystycznej i nadać widowisku bardziej jednolity i zwarty charakter. Elementy farsy i groteski w pierwszej części widowiska kłóciły się z melodramatycznym tonem drugiej części, stwarzając nierówny i niewłaściwy nastrój, podkreślony ponadto odpowiednią wymową oprawy dekoracyjnej i grą świateł. To samo dałoby się powiedzieć o opracowaniu muzycznym (muzyka Dzięgielewskiego, teksty Muskata), które nie posiadało swego określonego celu i znaczenia dla całości widowiska i podobnie jak inscenizacja i reżyseria nie pogłębiało jego harmonii.

W zespole młodych aktorów wyróżniła się Alina Piwnicka w roli Pernette; była ona pewna na scenie, miała naturalny gest, ujmowała wdziękiem i młodością. Również dość pomyślnie wypadł Ryszard Marzecki (Oliwjer). Na uwagę zasługiwał także Kassowski, który w roli Bernarda stworzył naturalną i żywą postać zakochanego maturzysty, zabarwioną niekiedy szczerym i czystym komizmem. Okońska i Waśkowska nie zawsze potrafiły nadać swym kreacjom równy wyraz artystyczny, zgodny z komediowym tonem widowiska. Januszkiewicz (Michał Boilhet) zachowywał się dość sztywno i był mało przekonywujący.

*

Nowy sezon rozpoczął Teatr Polski wystawieniem **Dam i Huzarów** Fredry, a więc jednej z najlepszych polskich fars, pochodzącej z wczesnego okresu twórczości autora „Zemsty", w której już wówczas wszechstronnie uwidocznił się jego talent kształcony na najlepszych tradycjach komediopisarstwa, na dziełach Goldoniego i Moliera.

W krotochwili fredrowskiej, owianej czarem beztroskiej pogody, przepojonej dowcipną ironią i pobłażliwą drwinką, wszystkie niemal postacie są „charakterami", których komizm spotęgowany został przez zabawną, kontrastową sytuację, polegającą na przeciwstawieniu wrażliwych a gadatliwych dam szorstkim, zadzierżystym i mrukliwym huzarom. Na scenie pojawia się świat barwny i huczny, wabiący wzrok czystym granatem koletów i srebrzystą bielą insygniów, hałaśliwy i swawolny, rozkochany i zabawny, świat modnych dam i napoleońskich huzarów, który pod piórem wielkiego Fredry żyje i gra pełnią swych blasków i cieniów, werwą, wigorem i temperamentem. Umiejętność spojrzenia na te dwa odrębne światy, umiejętność podpatrzenia w nich wszystkich najdelikatniejszych śmieszności, najsubtelniejszych słabostek i najbardziej pospolitych przywar oraz poddanie ich jasnej i krytycznej ocenie intelektualnej, zaprawionej szczerem humorem tworzy z farsy fredrowskiej utwór pełen ruchu i niewysłowionego wdzięku. Szczególnie zaś wierna i sugestywna plastyka, z jaką Fredro odtwarza zwyczaje, zachowanie się i sposób myślenia huzarów, świadczy o jego swoistym realizmie, zdradzającym w autorze napoleońskiego kawalerzystę.

Mimo jednak niezwykłej plastyki i wielkiego talentu Fredry świat jego „dam i huzarów" tak daleko odszedł w przeszłość, że nabrał cech zabawnej karykatury, budzi nie tyle humor, ile uśmiech, nie rozśmiesza raczej a rozrzewnia. I ten właśnie nasz stosunek do odległej rzeczywistości doskonale uchwycił i podkreślił Tadeusz Muskat w swym pomysłowym i efektownym prologu oraz w zakończeniu widowiska, zabarwionym nastrojową i całkiem celową muzyką Dzięgielewskiego. Odpowiednia gra świateł i podniosły ton monologu, zawierającego reminiscencje z życia pisarza, w sposób niezwykle sugestywny przykuły uwagę widza do obrazu zamarłej w bezruchu przeszłości, niegdyś tętniącej życiem i werwą, dziś wygasłej i dawno zapadłej w wieczność. Tę historyczność spojrzenia pogłębiała również stylizacja widowiska w kierunku groteski, która w tym wypadku ożywiała komizm sytuacji i dowcip.

Staranna reżyseria Muskata nadała grze aktorów zespołowy i zgodny wyraz artystyczny. Myśl reżysera doskonale zrealizował Rosłan. Jego Major był imponujący, tchnął niewymowną, naturalną plastyką i budził nieustanną wesołość na widowni. Pomyślnie zareprezentował się w roli rotmistrza Witold Dowgird, który szczególnie dobrze wypadł w scenie zalotów do Anieli. Bystrzyńska, Krzywicka i Stróżyńska jako siostry Majora pokazały solidną robotę aktorską, odznaczającą się naturalnością przeżycia i ekspresji. Stanisława Masłowska tchnęła w postać Zofii wiele szczerego wdzięku i subtelności. Zupełnie dobrze od początku do końca w ramach groteski utrzymał swą rolę Władysław Cichoracki (Grzegorz). W epizodycznych rolach najlepsza była Weilandówna (Fruzia), natomiast bezimienny aktor (Rembo) nie dysponował swobodą artystycznego wyrazu (dykcja!). Prolog deklamował zupełnie poprawnie Kuźmiński. Prof. Leonard Torwirt przez swe celowe i piękne dekoracje dał widowisku należyte i przekonywujące tło plastyczne.

Aleksander Dzienisiuk.

„Warszawa w gruzach" w Pomorskim Domu Sztuki

W salonie Wystawowym Pomorskiego Domu Sztuki w Bydgoszczy zorganizowana została wystawa pod hasłem: „Warszawa w gruzach". Składają się na ten niezwykły pokaz: kolekcja fotografii Jana Bułhaka oraz cykl akwarel Stanisława Poznańskiego. Prof. Jan Bułhak w stu bez mała zdjęciach fotograficznych utrwalił obraz Warszawy taki — jaki przedstawił się oczom odradzającej się Polski bezpośrednio nieomal po ostatniej dziejowej burzy. Znakomity mistrz stworzył dzieło godne wielkiego artysty. Z ogromnej masy wstrząsających „motywów" wybrał takie, które najdosadniej, najtrafniej mówią cieniem i światłem o strasznych, nie dających się wyrazić słowem sprawach. Na ruiny Warszawy w dziełach Bułhaka patrzy się nie jak na zwaliska gruzów, ale jak na rany, jak na blizny istoty żywej, kochanej a w straszliwy sposób skrzywdzonej. Trudno z mistrzowskiej kolekcji wskazać osiągnięcia najtrafniejsze. Niech wspomnę choćby tylko rezultaty szczytowe, takie jak np. „Zamek Królewski" — na rumowisku jeden spalony słup, niby kikut ręki oskarżycielsko wzniesiony ku niebu. — Albo „Ghetto" — jedna wielka mogiła z kilkoma zniekształconymi sylwetami, jakgdyby zbeszczeszczonych nagrobków cmentarnych. Sto jest tych zdjęć tak wymownych — a każde inne. A każde jest zarazem i dokumentem i — głęboko wzruszającym dziełem sztuki.

Akwarele Stanisława Poznańskiego służą także ważnej sprawie utrwalenia oblicza naszej stolicy po dniach jej zniszczenia. Sprawie ważnej, bowiem właśnie plastyce naszej przypadł obowiązek niedopuszczenia do tego, by czas zatrzeć miał dowód tak niesłychanej zbrodni i tak również niesłychanego bohaterstwa. Tego rodzaju zadanie wymaga od artysty możliwie jak najwierniejszego podporządkowania się prawom tematu. Rezygnacji z nazbyt swoistych chęci interpretacyjnych. Idzie bowiem w pierwszym rzędzie o dokument, o wizję możliwie obiektywną. W wyniku — grozi tu oschłość a nawet co gorsza — banał. Poznańskiemu udało się znaleźć drogę do sharmonizowania nakazów tematu z prawami malarskiego warsztatu. Brak siły dramatycznej w realizowaniu wizji okupił szczerością a w szeregu wypadkach niekłamanym liryzmem podejścia.

Niezwykły charakter wystawy podkreślają trafne ramy dekoracyjne stworzone przez art. malarki: J. Daszkiewiczową i J. Szyszko. Wystawa wzbudziła ogromne zainteresowanie — czego dowodem tłumy, przewijające się co dnia przez sale Pomorskiego Domu Sztuki.

mt.

JAN BUŁHAK

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE



Z WYSTAWY W POMORSKIM DOMU SZTUKI

LIST ZE SZCZECINA

Sytuacja teatralna w Szczecinie wyjaśniła się częściowo. Po dwumiesięcznej wojnie podjazdowej — nawiasem mówiąc bardzo niemiłe na postronnych robiącej wrażenie — pole oddzierżył dyr. Czosnowski. Zespół byłego Teatru Związku Patriotów Polskich ze Lwowa pod nazwą „Komedia Muzyczna“ ma nam zatem przez cały rok dostarczać oficjalnych rozkoszy teatralnych. Na konferencji dla przedstawicieli prasy, radia i pracowników na „niwie“ kulturalnej dyr. Czosnowski nie tail trudności piętrzących się przed każdym, a tym samym — może nawet jeszcze bardziej — przed jego zespołem. „Komedia Muzyczna“ jest teatrem tzw. małych form, raczej rewiowym niż dramatycznym. Tego rodzaju zespół czynić odpowiedzialnym za poziom kultury teatralnej Szczecina jest krokiem niezmiernie ryzykownym. To też dyr. Czosnowski przedstawiając proponowany repertuar wcale nie ukrywa, że ze względu zarówno na predyspozycje zespołu jak i warunki materialno-kasowe repertuar będzie szedł w dwu kierunkach. Utwory lekkie mają umożliwić wystawianie poważniejszych. W repertuarze na sezon 1946/47 wymienia się „Świderek“ Niccodemiego, „Rozkoszna dziewczyna“ Bernatzky'ego, „Grube Ryby“ z gościnnym występem Solskiego, „Krakowiacy i górale“, „Królowa przedmieścia“, „Mąż i żona“ i „Kaprysy Marianny“ Musseta.

Na otwarcie sezonu wystawiono rewię „Na falach Odry“. Wbrew podtytułowi, głoszącemu, że będzie to „wycieczka pomorska“, „Na falach Odry“ jest składanką bardzo różnej wartości numerów z powierzchownym tylko zaznaczeniem kolorytu lokalnego. Mamy tu i „Wesele na wsi“ i piosenkę o „pannie Marysi telefonistce“, akrobatyczny taniec marynarski Wesołowskiej i Krzanowskiego, nie wiadomo poco zrobioną (na finał!) parodię opery i doskonałego stepistę Tibora Szpaitera. Reżyseria i większość tekstów Henryka Lotara. Po tym rewiowym „co tylko chcecie“ zapowiadana „Przeprowadzka“ Rostworowskiego budzi tyleż zaciekawienia co obaw. Obawy tym bardziej uzasadnione, że drugi teatr szczeciński, Teatr Mały mimo zasilenia go „rozbitkami“ z zespołu dyr. Skąpskiego nie wnosi się ponad przeciętnie amatorski poziom. Grana obecnie trzyaktowa komedia Hennequin'a „Dwadzieścia dni kozy“ jest właściwie kotłowaniną osób na maleńkiej scenie, nie mówiąc już o ujemnym wpływie wychowawczym. Publiczność tłumnie wypełniająca widownię Teatru Małego będzie stracona dla każdego teatru z prawdziwego zdarzenia. Gdyby więc okazało się, że Szczecin będzie pozbawiony dobrego teatru, przynajmniej takiego jaki oglądaliśmy ostatnio w Teatrze Polskim dzięki występom Zaklickiej, Brackiej i Łodzińskiego w „Roxy“ i „Myszy kościelnej“ — byłoby to zbrodnią, za którą ktoś winien dostać więcej niż tylko dwadzieścia dni kozy...

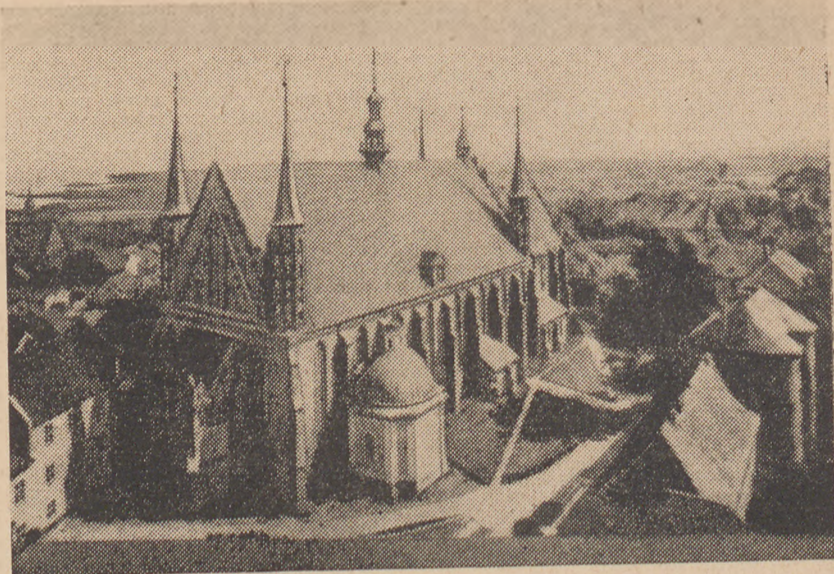
Tymczasem Szczecin żyje pod znakiem lekkiej Muzy. Akademicki Zespół Rewiowy z Krakowa, wracając z obozu wypoczynkowego w Międzyzdrojach, dał kilka występów. Na szczególniejsze uznanie zasłużyli rewelersi Morgana, Siostry Do-Re-Mi, oraz duet taneczny Tomaszewskich.

A czego brak? . . .

Brak właściwie wszystkiego. Zarówno dobrego teatru, jak bodaj dobrej rewii. Mimo całej ważności Szczecina, którą cały kraj zdaje się rozumieć, miasto ciągle jeszcze jest kopciuszkiem pod wieloma — jeśli nie pod każdym — względami. Brak koncertów, których nie zastąpią akademie, brak godnego piastowskiego grodu ruchu wydawniczego; rozgłośnia szczecińska walczy z trudnościami; muzeum miejskie rozwija się coprawda stale lecz w milczeniu, które też należałoby przerwać. Nawet tych kilka Klubów towarzysko-kulturalnych istniejących na terenie Szczecina, skarży się na brak . . . życia klubowego. Nie brak ploteczek. Mówi się więc, że Klub Literacko-Artystyczny wznowi swą działalność a wieczór dyskusyjny o sprawach teatru będzie z pewnością bardzo burzliwy. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zapowiada szereg imprez w swym nowo otwartym lokalu. Właściwie jeden tylko „Szczecin“ „tygodnik miasta morskiego“ stanowi pewną pozycję, chociaż i on ma swe numery słabsze. Przyznać jednak trzeba, że postęp w porównaniu z numerami pierwszymi jest widoczny i duży. Ruch wydawniczy reprezentuje Spółdzielnia Wydawnicza „Polskie Pismo i Książka“, która wypuściła niedawno spod prasy „Album pamiątek piastowskiego Szczecina“. Szkoda tylko, że w tak skromnej szacie, za skromnej jak na ważne i pożyteczne propagandowo wydawnictwo.

Szczecin jest ciągle jeszcze prowincją i trzeba będzie wielkiego wkładu pracy, by wytworzyć tu prawdziwą miejscową kulturę. Są tu ludzie mrówczej i ideowej pracy, powstają wyższe uczelnie, port coraz głośniej daje znać o sobie syrenami swych statków — przyjdzie czas i na kulturę. Podstawa: wielkie zainteresowanie się społeczeństwa tymi zagadnieniami jest, a to już bardzo wiele. Objaw pocieszający i obiecujący.

Walerian Lachnitt



KATEDRA WE FROMBORKU NA WARMII

LOSY ZBIORÓW WSCHODNIOPRUSKICH

W przypadłej Polsce części „Prus Wschodnich“ znajdowało się jedenaście muzeów regionalnych: 2 większe — w Olsztynie i w Lidzbarku, mniejsze — w Giżycku (Łuczany), Nidzicy (Nibork), Ostródzie, Pasłęku, Reszlu, Bartoszycach, Szczytnie, Młynarach i Kętrzynie (Rastębork).

Najlepiej zachowało się muzeum regionalne na Zamku Olsztyńskim — resztki jego dały podwalinę pod zbiory uruchomionego przed rokiem Muzeum Mazurskiego. Najcenniejsze obiekty dawnych zbiorów olsztyńskich, stare ludowe dywany wiązane o motywach kilimowych, (w ilości czterech sztuk), zostały ewakuowane przez Niemców i dotychczas nie natrafiono na ich ślad. Z muzeum lidzbarskiego udało się uratować pomiędzy niewielu eksponatami 2 cenne obiekty: 4 skrzydła ze słynnego ołtarza św. Jodoka w Santopach z około 1515 r. i piękną, lecz silnie uszkodzoną „Madonnę z Dzieciątkiem“ z wieku XV. Reszta muzeum lidzbarskiego, posiadającego bogaty dział etnograficzny, została poza niewielu eksponatami kompletnie rozkradziona. Po muzeum w Mrągowie, poza szczątkami eksponatów prehistorycznych, przewiezionymi do Olsztyna, nic nie pozostało. Z resztek, skromnych zresztą, zbiorów nidzickich uratowano 2 piece i kilkadziesiąt ludowych kafli mazurskich. W Szczytnie zachowały się również piece, kafle i świątki ludowe oraz szereg zabytków prehistorycznych. Po muzeum bartoszyckim pozostał piękny ołtarzyk szafkowy z czasów przedreformatorskich z kościoła Św. Ducha w Bartoszycach. W Pasłęku zachowały się jedynie małej wartości szczątki, a po zbiorach reszelskich, młynarskich i kętrzyńskich nie pozostało śladu.

Bogate zbiory braniewskie, własność seminarium duchownego, zawierające cenną kolekcję numizmatyczną, archeologiczną oraz sztuki chrześcijańskiej, uległy wraz z bogatą biblioteką seminaryjną całkowitemu zniszczeniu w czasie pożaru miasta.

Zbiorów prywatnych, zasługujących na wyróżnienie, było 2, a mianowicie przebogata kolekcja ceramiki w zamku Finkenstein i mniejsza — w pałacu Schlodien. Zamek Finkenstein (pow. Susz), mieszczący ponadto bogate zbiory obrazów ,mebli i dywanów, został całkowicie spalony. Zamek ten pochodzący z XVII w. był w czasie kampanii pruskiej siedzibą Napoleona I. Apartamenta, zamieszkane przez Cesarza, były utrzymane do ostatka w tym stanie, jakim je on opuścił. Zbiór w Schlodien został zniszczony i rozkradziony. Wszystkie inne mniejsze zbiory prywatne w bardzo bogatych rezydencjach junkrów pruskich (hr. Dohna — Lauck, Dohna — Schlodien, Dohna — Schlobitten, hr. Eulenburg, hr. Dönhoffów itd.) spotkał ten sam los.

Z tych smutnych i rozproszonych w terenie resztek rozpoczął Wydział Kultury i Sztuki w Olsztynie tworzyć przed rokiem Muzeum Mazurskie. W ówczesnych warunkach komunikacyjnych i aprowizacyjnych na prowincji, było to przedsięwzięcie dosyć ryzykowne. Szczupły personel Wydziału musiał znalezione dzieła sztuki przenosić, ładować na auta, transportować, prowizorycznie czyścić itp. Dziś — po roku istnienia Muzeum, stwierdzić można bez przesady, że praca tych zapaleńców nie poszła na marne. Muzeum Mazurskie, mieszczące jak podano wyżej smętne resztki byłych muzeów regionalnych i resztki uratowanych dzieł sztuki z mienia podworskiego i ze zniszczonych kościołów, udostępniło już dział sztuki gotyckiej, sztuki barokowej ,galerię portretów i dział regionalny — razem kilkaset obiektów.

Do pereł zbiorów olsztyńskich zaliczyć należy wspomniane już skrzydła z nieistniejącego od dawna ołtarza szafkowego w Santopach. Skrzydła, dwustronnie malowane temperą z bogatymi złoceniami, mieszczą po cztery obrazy ze scenami męki Chrystusa i z życia św. Jodoka oraz innych świętych. Całość na bardzo wysokim poziomie, tchnie już duchem renesansu. Niemniej ciekawym zabytkiem jest ołtarz szafkowy z Bartoszyc, zachowany w całości z wyjątkiem zewnętrznego obramienia. Obrazy na skrzydłach, przedstawiające sceny z męki Chrystusa i z życia świętych, w większości doskonale się trzymające. Najgorzej zachowała się rzeźbiona grupa środkowa, przedstawiająca ukrzyżowanie, w której piękny Krucyfiks został zastąpiony rzeźbą słabą i o wiele późniejszą. Z mienia podworskiego ocalono kilkadziesiąt dobrych portretów szkoły holenderskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej; z poniszczonych i opuszczonych kościołów szereg epitafiów, tablic wotywnych, fragmentów ołtarzy i obrazów od 16 do 18 wieku.

Imponująco przedstawia się otwarty w czerwcu rb. dział regionalny, skompletowany z resztek muzeum olsztyńskiego i zebranych w terenie obiektów: kompletnie urządzona izba warmijska i mazurska, ciekawy zbiór prząśliczek, ceramika ludowa — wśród niej kafle ludowe mazurskie z 18 i początku 19 w. z polskimi napisami, stare czepki ludowe złotem haftowane itd.

Najwięcej uratowano zabytków prehistorycznych, które były dobrze reprezentowane w prawie wszystkich zbiorach regionalnych, a które dla przeciętnego szabrownika nie przedstawiały najmniejszej wartości. Muzeum Mazurskie przystąpi w najbliższym czasie do uporządkowania zbiorów prehistorycznych, które w przyszłym roku zostaną udostępnione.

Frekwencja publiczności jest nadspodziewanie dobra, w dni świąteczne przewinęło się przez Muzeum kilkakrotnie po 600 osób.

K. Reczyński.

OLSZTYN

Życie muzyczne

Na ziemi mazursko-warmińskiej stanowi Olsztyn coraz to bardziej żywotny kierowniczy ośrodek kulturalny. Miasto, w którym jeszcze przed rokiem nie można było sklecić nawet najsłabszej, amatorskiej imprezy muzycznej, w którym nie łatwo było odnaleźć choć jeden rozstrojony instrument, lub najskromniejszą kawiarnię, w którym na dobre grasować zaczęły podejrzane rewie z czarodziejami i magikami, — posiada dziś zawodowy stały teatr, muzeum, towarzystwo muzyczne, szkołę muzyczną, grono muzyków zrzeszonych w ZZM (Okręg Olsztyn), nawet zorganizowano Biuro Koncertowe. Wszystko to — a dalej efektowne wystawy sklepowe, miłe kawiarnie, wystarczające oświetlenie, tramwaje, milicjantki regulujące ruch uliczny — dumą napawa tych pionierów, którzy przybyli tu pierwsi i byli świadkami powstawania z gruzów i bezładu — życia, biegnącego tu coraz normalniejszym torem.

Wspomniana Szkoła Muzyczna (Towarzystwa Muzycznego), skupiająca w roku bieżącym już około 300 uczniów, oraz szereg poważnych pedagogów muzycznych (wykładają m. in. prof. Z. Kossobudzka — śpiew; J. Sukiennicka — fortepian, J. Kuczyńska-Garglinowicz — fortepian; dyrektoruje Szkole niżej podpisany) — stanowi dziś ważne centrum życia muzycznego w Olsztynie. Szkoła urządziła popisy uczniowskie, ponadto

szereg własnych koncertów, popularyzujących dobrą muzykę. Pierwsze, organizacyjne trudności są już pokonane; szkołę czeka droga dalszego rozwoju.

Obok opiekowania się uczelnią muzyczną — olsztyńskie Towarzystwo Muzyczne przyjęło na siebie część trudu przy organizowaniu związków śpiewaczych. Sam Olsztyn posiada już parę działających chórów; dalsze tworzą się również „na prowincji". Na podkreślenie szczególne zasługuje „Echo Warmińskie" w Lidzbarku (Warmińskim), pracując na niwie śpiewaczej pod kierownictwem muzyka-warmiaka, Ottona Kircha. Chór ten pieczołowicie pielęgnuje pieśń warmińską.

Jeśli już mowa o działaczach muzycznych tego regionu, to wspomnieć trzeba o znanym mazurskim muzyku-amatorze, zbieraczu pieśni ludowych, Karolu Małku, dyrektorze Uniwersytetu Ludowego Mazurskiego w Rudziskach pod Pasyniem. W wydanej niedawno przez Instytut Mazurski broszurze „Plon niesiemy plon", zawierającej ciekawe okazy folkloru tutejszego, związanego z uroczystościami dożynek, znajdują się dwie oryginalne pieśni żniwne z XVI wieku, „Pola już białe" i „Dajcie cześć Panu"!

Spis pieśni mazurskich i warmińskich wymaga jeszcze zebrania i opracowania. Jak dotąd — przechowują się one jedynie w pamięci autochtonów, z rokiem każdym zmniejszając swój stan posiadania. W czasie pierwszego, skromnego „Festivalu Śpiewaczego", jaki miał miejsce w Olsztynie minionych Zielonych Świąt, wykonano szereg nowoopracowanych pieśni ludowych tych ziem, obok pieśni Feliksa Nowowiejskiego warmiaka z pochodzenia.

Ruch koncertowy — który zaczyna ogarniać coraz to większy teren, docierając do niedużych miejscowości — organizowany jest przez Biuro Koncertowe Zw. Zaw. Muzyków. Dla eskapad terenowych utworzono nawet Małą Orkiestrę, dającą programy popularne. Przez sam Olsztyn przewinęło się już sporo artystów zarówno młodych jak o znanych nazwiskach: Bandrowska, Umińska, Drewniakówna, Dobrowolska, Gruszczyńska, Adamczewski, kwartet Polski dyr. Jahnke i in.

Ruch koncertowy ma jeszcze poważne przeszkody do pokonania: brak odpowiednich instrumentów, brak zainteresowania imprezami poważniejszymi, i wynikające z tego — deficyty — to są zresztą ogólne bolączki, z którymi i my walczymy z wiarą w potrzebę kultury muzycznej i — z koniecznym w tej pracy entuzjazmem.

Mirosław Dąbrowski

NOTATNIK KULTURALNY WYBRZEŻA

Inauguracyjny koncert Filharmonii Bałtyckiej pod dyr. B. Wodiczko otwierał utwór reprezentacyjny niejako dla Wybrzeża — uwertura „Legendy Bałtyku" F. Nowowiejskiego. Z pomocą silnych, aż brutalnych zestawień instrumentacyjnych wyraził syn Warmii odczucie legendarnej pierwotności słowiańskiej, tradycje burzliwego życia na morzu, fanatyczne ukochanie nadmorskiego brzegu. Solistą był pianista Jan Ekier. W koncercie fortepianowym f-moll Chopina okazał trafnie stosowaną dynamikę, precyzję w rytmie i frazowaniu, wartości emocjonalne — jako główne cechy swej gry. Może partia orkiestralna, stanowiąca u Chopina tylko dyskretny wtór dla partii fortepianowej — mogła być nieco bardziej powściągliwa. W pełni wydobyli filharmonicy nadmorscy odrębny anielli w innych utworach Karłowicza, nie tak „smętny" — nastrój młodzieńczej „Serenady na orkiestrę smyczkową". Również w czarującej „Sinfoniecie" Perkowskiego odsłoniono ciekawą niezwykłość jej zestrojów instrumentalnych (perkusja w metalu i drzewie).

Tzw. „III Wielki Koncert dla Świata Pracy" w Kadłubowni Stoczni nr 1 w Gdańsku zaciekawił przede wszystkim jako dokonanie społeczno-organizacyjne. Jest to już trzeci — po wspaniałych występach Sztompki i Gardy — tego rodzaju koncert-monstre. Wrażenie jest imponujące. Estradą bywa bak montowanego właśnie okrętu, błyszcząca czerń fortepianu i wyniosła sylwetka śpiewaka jawią się wysoko w górze w blasku reflektorów i wśród białoczerwieni dekoracyjnych draperii — ponad 10.000 widzów wypełnia rozległą hale, a żelazne konstrukcje stoczniowe wysoko wzdłuż ścian zdają się zastępować galerię.

W ostatnim koncercie Filharmonia wyszła swym programem naprzeciw szerszym odbiorcom muzyki. Program był urozmaicony i oprócz utworów ściśle orkiestralnych zawierał i występy wokalne M. Bojar-Przemienieckiej i K. Czekotowskiego oraz utwory skrzypcowe w wykonaniu Fr. Jamry. Muzyka zrodzona z ducha ludowego z powodzeniem podbiło wielotysięczną widownię. Radio i Film Polski słusznie przekazały to wydarzenie artystyczne na cała Polskę.

Z nowym dyrektorem. dużej wartości kapelmistrzem prof. St. Śledzińskim. z dobrym zespołem instrumentalistów (wyjeżdżającego zagranice pierwszego skrzypka Wrońskiego zastąpił — Palulis) — umocni zapewne F. B. w r 1946-47 swą pozycję w życiu muzycznym kraju. Wyjście poza zbyt elitarny program i nowe formy odbiorczości muzycznej rozszerzyć winny i krąg słuchaczy.

Z troski o pozyskanie odbiorcy wypływa też ostatnia koncepcja: **dorywczych imprez o charakterze operowym.** Największe dane ma Gdynia, siedziba najlepszej Szkoły Muzycznej. Jest tu reżyser i śpiewak operowy Maurycy Janowski, są dalsi śpiewacy, Bojar-Przemieniecka i Czekotowski, również z Opery Warszawskiej, oraz młodzi: Jęsiakówna i Platt. Zawiązek baletu stanowi zespół Weli Lam. Orkiestra Symfoniczna pod dyr. B. Lewandowskiego i Chór prof. Betlejewskiego — mogłyby służyć jako dalsze elementy. Myśli się na początek o „Halce" na scenie Teatru Miejskiego. Czy dojdzie do urzeczywistnienia takiej formy popularyzacji muzyki — zobaczymy.

*

Wielkie zmiany gotują się na Wybrzeżu na odcinku teatru. Zapowiedzią ich była **prapremiera sztuki B. Pepłowskiego pt. „Wyrok" w Teatrze Dramatycznym Domu Marynarki Wojennej w Gdyni.**

Teatr ten przejął większość zespołu dotychczasowej gdyńskiej „Komedii" oraz „Teatru Dramatycznego" z Sopot, uzupełnił kilku dobrymi nabytkami swój skład aktorski i pozyskawszy jako reżysera Jerzego Merunowicza ma ambicję oprócz dobrego rozrywkowego repertuaru dla wojska dawać i takie sztuki jak „Dwa teatry" Szaniawskiego, „Mieszczanie" Gorkija, „Figle kobiet" Szekspira.

„Wyrok" Pepłowskiego jest sztuką dobrze napisaną, o porywającej akcji i inteligentnym dialogu. Trochę to „konspiracja na wesoło", a trochę na serio w typie narodowego i światowego Memento. Akcja rozgrywa się na tle sanatorium polskiego w G. G. Arcylojalne na pozór w swym jawnym życiu jest ono w rzeczywistości niebylejaką bazą konspiracyjną, usilnie penetrowaną przez wywiad Gestapo i własny. Pytanie: kto jest szpiegiem? — wisi długo w powietrzu, aż znajdzie w najbardziej nieoczekiwany sposób rozwiązanie. Doprowadzi ono do swego rodzaju Norymbergi avant la lettre i do tytułowego — „wyroku".

Pewną niejednolitość sztuki zacierał reżyser, tonując komizm — dla osiągnięcia poważnego wygłosu polityczno-dziejowego. Na takie bardziej dyskretne ujęcie niezupełnie może jeszcze przestawili się ludzie z dawnego zespołu gdyńskiego. Kształceni przez cały rok na nienajlepszych komediach, nie zawsze umieli oni czy chcieli wyrzec się nadarzających komediowych efektów, nie nastawili się zaś jeszcze na inny rodzaj osiągnięć.

Najlepsze były na ogół nowe siły. Jerzy Pietraszkiewicz, o urodzie trochę w typie Pichelskiego. wykazał jako konspirator wiele ekspresji w swej grze, przede wszystkim w grze niemej, w wejściach, grze oczami, kontaktowaniu się z partnerami. Był swobodny i naturalny w postawie, gestach, dykcji, a ponadto umiał sugestywnie wydobyć moment tajemniczości. Również Major (Kruglowski) — to chodząca dyskrecja, zamyślenie, chęć trzymania się na uboczu. Całkiem inny styl gry. Ale właśnie robił wrażenie.

Z sopockiego zespołu Halina Romanowska (Wanda) nie posiadała może w pełni danych zewnętrznych, nadrobiła jednak wiele ambicją, namiętnością aktorską, wielką czujnością na linie swej roli.

Prapremiera u Marynarzy wykazała, że u pracy jest nowa młoda indywidualność rezyserska, której tak Wybrzeżu brakowało, a która z mieszanki aktorskiej wytworzyć pragnie przyzwoity, godny Wybrzeża teatr.

Zupełnie rewolucyjną zmianę oznaczać może zastąpienie dotychczasowej miejskiej „Komedii" gdyńskiej — poetyckim z swego zasadniczego nastawienia **Teatrem Iwo Galla.** Jego Studio Teatralne w Krakowie robiło furorę, a utworzony z jego adeptów teatr będzie napewno cieszył się zainteresowaniem całej teatralnej Polski. Na pierwszy ogień idzie prapremiera poetyckiej sztuki Topornickiego „Homer i Orchidea". Potem Dickensa „Świerszcz za kominem" ,Shawa „Pierwsza sztuka Fanny", Szekspira „Jak wam się podoba", Wyspiańskiego „Legenda I", Słowackiego „Balladyna", Czechowa „Wiśniowy sad" — powinny olśnić Wybrzeże. Czy olśnią tę jeszcze niewyrobioną, a już trochę wypaczoną publiczność?

*

Spośród interesującego środowiska plastycznego, zorganizowanego wokół oddziału gdańskiego Z. Z. P. A. P. oraz Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie trzem artystom przyznało państwo w uznaniu ich zasług artystycznych stałe subsydia. Są to Władysław Lam, Władysław Studnicki i Jacek Żuławski, których interesujące zwłaszcza w kolorze, prace były ozdobą I Wystawy Z. Z. P. A. P. w Gdańsku i Gdyni.

Że Wybrzeże posiada i grafików, świadczy druga już Wystawa grupy plastyków wileńskich w Gdańsku. Wybija się tu, dobry zwłaszcza w rysunku Stanisław Żukowski, dalej Bolesław Rogiński i zaawansowany w technice miedziorytniczej Stanisław Rolicz. Wymienieni artyści z predylekcją zajmują się motywami gdańskimi.

Również Wystawa rysunków studentów architektury Politechniki Gdańskiej zdradza niejeden talent.

Wielkiej wagi rzeczą dla plastyków Wybrzeża jest stworzenie stałego salonu wystawowego. Od pewnego czasu oczy ludzi sztuki zwrócone są na prace, jakie nie bez oporów prowadzone są nad kompleksem dawnej „Polonii" przy alei Gdańsk — Wrzeszcz. Po ukończonym remoncie winien on stać się wspaniałym Domem Sztuki, obejmującym teatr, drugą scenę kilkuzespołowego Teatru Galla, teatrzyk dziecięcy oraz właśnie Salon Plastyków.

Kiedy kompleks ten zatętni życiem, będzie wówczas najwyższy czas, aby i literatura zaczęła nadążać za wzmożonym tempem artystycznego rozwoju Wybrzeża.

Andrzej Odnowa.

*

Obok nowopowstałych na Wybrzeżu zespołów teatralnych: Teatru Dramatycznego Domu Maryn. Woj. w Gdyni oraz wzbudzającego wiele zainteresowania Teatru Iwo Galla (oba projektują zresztą obsłużenie — sposobem objazdów — szerszego terenu) pojawił się zespół trzeci: Gdański Zespół Artystyczny, występujący z założenia jako teatr literacko-eksperymentalny. Obecnie wystawia regularnie 4 razy w tygodniu „Ciotunię" Fredry. Mając na celu jak najszerszą popularyzację literatury dramatycznej poprzedza się przedstawienia krótką prelekcją wprowadzającą. Niskie ceny umożliwiają osiągnięcie popularyzacyjnych zamierzeń.

ał

PRZEGLĄD PRASY

Uniwersytet w Gdańsku?

Wybrzeże Gdańskie posiada w chwili obecnej kilka wyższych uczelni: Politechnikę, Akademie Lekarską i Wyższą Szkołę Handlu Morskiego oraz Instytuty naukowe: Bałtycki, Morski i Rybacki. W tym zestawieniu łatwo daje się zauważyć brak studium humanistycznego i prawno-społecznego. Właśnie ten brak spowodował w ostatnim czasie publiczną dyskusję n. t. utworzenia Uniwersytetu w Gdańsku. Jako pierwszy zabrał głos dyr. Biblioteki Miejskiej w Gdańsku, dr M. Pelczar, który w „Przegl. Zachodnim"(luty) pisze: „Specjalne studia techniczne i lekarskie nie wyczerpuja wszystkich możliwości wyższych uczelni Gdańska... Utworzenie przeto w Gdańsku ośrodka nauk humanistycznych i przyrodniczych należy uważać już nie za potrzebę. ale za niedaleka konieczność życiowa, tym wiecej. że braku tego nie wypełnią inne polskie uniwersytety, nawet... Uniwersytet M. K. w Toruniu...". Do tego stanowiska Pelczara nawiazuje prof. W. Taszycki z Krakowa w art. pt. „Toruń czy Gdańsk?", zamieszczonym w kwietniowym n-rze tegoż „Przegl. Zach.". Po dłuższych wywodach dochodzi on do takich konkluzyi: „Pod każdym wzgledem Gdańsk góruje nad Toruniem. Dopiero uniwersytet gdański bedzie naprawde uniwersytetem pomorskim. na całe Pomorze promieniujacym. z całego Pomorza. od Szczecina po granice rosyiska. młodzież do siebie przyciagajacym...". Prof. Taszycki wypowiada się następnie za stopniowym przeniesieniem uniwersytetu z Torunia do Gdańska. Tego rodzaju postawieniu sprawy przeciwstawia się (w tym samym numerze) prof. Z. Wojciechowski, który stwierdza: „I Toruń i Gdańsk i Szczecin", — przy czym jednak „watpi w rozkwit „czystych" studiów humanistycznych w takim środowisku", jak Gdańsk.

Niejako na marginesie powyższych dyskusji ciekawe spostrzeżenia czyni (Przegl. Zach., czerwiec) Marian Wachowski w artykule pt. „Uniwersytety a terytorium Polski": „Ze wzgledu na regionalny charakter naszych uniwersytetów zasadniczego znaczenia nabiera także ich rozmieszczenie. aby poszczególne cześci terytorium Polski korzystać mogły z uniwersytetów w sposób mniej więcej równomierny...". Dalej, odnośnie terenu pomorskiego stwierdza, że „ludność Pomorza przed wojną niechętnie korzystała z uniwersytetów" z powodu wielkiego oddalenia od środowisk uniwersyteckich. „Doniosłość tej kwestii staje się wyraźniejsza, gdy sobie uświadomimy, że na północy rozciąga się pas od Szczecina do Sejn długości 600 km a szerokości w najwęższym miejscu 75 km. który leży dalej niż 150 km od Poznania, Torunia i Warszawy". Wachowski wyciąga nastepujacy wniosek: „Jeżeli więc uniwersytet toruński mimo swego wielkiego znaczenia nie jest w możności obsłużenia północy, to nasuwa się potrzeba utworzenia nowych uniwersytetów, gdyby zaś chcieć konsekwentnie przeprowadzić zasadę równomierności terytorialnej, to trzeba by utworzyć aż dwa uniwersytety północne, jeden np. w Koszalinie, a drugi z siedzibą w Braniewie, które ma dawne tradycje szkoły polskiej".

Z kolei dyskusja przeszła na łamy „Dziennika Bałtyckiego". W końcu sierpnia (nr 206) ukazał się tutaj artykuł wice-dyr. Biblioteki Miejskiej w Gdańsku, dr M. Des Loges, pt. „O studium humanistyczne na Wybrzeżu". Po przytoczeniu argumentów natury ogólnej i lokalnej autor

stwierdza: „Wybrzeże, będące szczególnie czułym punktem w granicach Rzplitej, nie może zostać zepchnięte do roli jedynie ośrodka przemysłowego i handlowego, w którym postawa techniczna, czy praktyczna miałaby przysłonić treści ogólno-kulturalne i humanistyczne“. Dr Des Loges nie widzi wprawdzie możliwości zrealizowania swej koncepcji w chwili obecnej, niemniej „już dziś należy myśleć i nastawiać się w kierunku uruchomienia studium uniwersyteckiego w Gdańsku, chociażby w formie wydziału ogólnego wzgl. humanistycznego przy Politechnice Gdańskiej“.

Z odpowiedzią drowi Des Loges wystąpił (Dz. Bałt. 26. 8. 46) prof. dr Tibor Csorba, który wskazuje na liczne trudności przy tworzeniu Uniwersytetu, trudności, które wydają się obecnie nie do przezwyciężenia ze względu przede wszystkim na brak humanistów-naukowców, odczuwany dotkliwie nawet na uniwersytetach już istniejących. Wątpi poza tym prof. Csorba, czy miasto nadmorskie zdoła dla humanistyki wytworzyć odpowiedni klimat.

Niedostatecznie uzasadnione zastrzeżenia i watpliwości prof. Csorby odparł dr Des Loges w Dzien. Bałt. z d. 23. IX. i 7. X. („Jeszcze w sprawie wydziału humanistycznego w Gdańsku“), zwracając uwagę, że w takich ośrodkach portowych, jak Marsylia, Neapol, Liverpool, Hamburg, Leningrad i in., istnieja nie tylko poważne uniwersytety, ale także akademie sztuki, instytuty naukowe i wspaniałe biblioteki. „Za umieszczeniem uniwersytetu na Wybrzeżu przemawiaja zarówno względy na szeroko ujętą politykę morską jak i względy naukowe... Szereg dyscyplin naukowych można z korzyścią uprawiać tylko w bezpośrednim kontakcie z morzem i jego ludźmi... uprawiane w głębi lądu napotykać będą na nieprzezwyciężone trudności i w efekcie dadzą wyniki ułamkowe a nawet błędne“.

Do tego wielogłosu dyskusyjnego należy włączyć także przypadkową wypowiedź prof. dr. Włodzimierza Antoniewicza, który omawiając „Geografię ośrodków kulturalnych“ („Odra“ nr 30 z d. 8. IX.), wyraził przekonanie, że „Gdansk musi stać się centrum naukowym dla badań Pomorza szczecińskiego, bydgoskiego i gdańskiego“. Gdańsk powinien więc być główną siedzibą Instytutu Bałyckiego, siedzibą „na europejską skalę wyposazonego Muzeum Morza i Pomorza Polskiego“, przy Politechnice powstać powinien wydział humanistyczny, przy Akademii Lekarskiej zaś — katedry przyrodnicze. W związku z tym Gdańsk powinien być zaopatrzony w odpowiednie zbiory naukowe. Prof. Antoniewicz wolałby, ażeby zbiory Zakładu Narod. Im. Ossolińskich (przydzielone Wrocławowi) znalazły się raczej w Gdańsku, a jeśli to już niemożliwe, to „wszystkie inne zbiory lwowskie powinny być oddane Gdańskowi, a więc Biblioteki: Baworowskich i Dzieduszyckich, zbiory Muzeów: Jana III, Wł. Łozińskiego i Przemysłowego. Tego wymagają względy reprezentacyjne kultury polskiej w tym centralnym nad Bałtykiem oknie na świat, tego wymaga stworzenie ośrodka prac polonistycznych u ujścia Wisły. Boć przecie Gdańsk musi się stać swoistym i wybitnym centrum nauki, literatury i sztuki polskiej“.

Tak w dużym skrócie przedstawia się dotychczasowy przebieg dyskusji. A wnioski? Sprawa pozostaje nadal otwartą. Wątpliwości, czy Gdańsk — środowisko gospodarcze — techniczno-portowe jest sprzyjającym ośrodkiem dla humanistyki, nie wydają się uzasadnione, bo Gdańsk w okresie swego rozkwitu gospodarczego w 17 i 18 wieku był równocześnie bardzo wpływowym ogniskiem kulturalnym. Trudności lokalowe mają charakter przejściowy, poza tym nie chodzi o stworzenie **całego** Uniwersytetu już dziś czy jutro. Tak samo spodziewać się należy, iż z czasem naróśnie narybek młodych humanistów.

Chwilowe trudności nie mogą więc zamącać obrazu rzeczywistych potrzeb, że Gdańsk, jako główny ośrodek wielkiego okręgu północnej Polski, wymaga dopełnienia swego życia w postaci studium humanistycznego.

St. Pol.

Od Wydawnictwa

Czytelników naszych zawiadamiamy, że naskutek zwiększenia się w ostatnim czasie kosztów kolportażu i druku, zostaliśmy zmuszeni — śladem innych pism — do podwyższenia ceny naszego wydawnictwa: normalny, 24-stronicowy zeszyt „Arkony“ kosztuje obecnie 15 zł. Mamy nadzieję, że Czytelnicy nasi będą mimo to darzyli nadal pismo swą przychylnością, zwłaszcza, że starać się będziemy o wprowadzenie dalszych ulepszeń redakcyjnych i technicznych. Prenumeratorzy, którzy uiścili należytość do końca roku bieżącego, otrzymają pismo bez dopłaty.

*

Z powodu braku miejsca — WYKAZ KSIĄŻEK NADESŁANYCH oraz PISM WYMIENNYCH musieliśmy odłożyć do przyszłego numeru.

NOWE KSIĄŻKI

Górski Karol: KRÓTKIE DZIEJE PRUS WSCHODNICH. Warszawa 1946. Nakł. Państw. Zakł. Wydawnictw Szkolnych 8 s. 92, 1 mapka. Bibl. Popularno-Naukowa, Seria: Ziemie Odzyskane.

Drugi Tomik Biblioteki Ziem Odzyskanych, ukazującej się (niestety zbyt wolno) pod red. St. Helsztyńskiego, poświęcony jest dziejom Prus Wschodnich. Trzeba od razu zaznaczyć, że jest to w ogóle pierwszy, polski syntetyczny obraz tych dziejów. Książeczka ma charakter popularny i została przeznaczona przez Ministerstwo Oświaty dla szkół i bibliotek szkolnych. Jest rzeczą wiadomą, że łatwiej napisać rozprawę naukową, niż dobrą książkę popularno-naukową, której warunkiem jest zwięzły, przystępny, jasny i przejrzysty wykład. Praca prof. Górskiego ma niewatpliwie sporo z tych zalet, jednakże nie została pod tym względem dostatecznie wycyzelowana. Np. autor pisze (str. 38): „dnia 18 września 1454 r. król został zupełnie pobity“ (pod Chojnicami), nie wyjaśnia jednakże równocześnie ani słowem, wśród jakich okoliczności doszło do klęski, natomiast na innym miejscu (str. 31) wymienia niepotrzebny bo nieuzasadniony tutaj niczym szczegół, że w nieobecności Jana Bażyńskiego „W. Mistrz wydał jego narzeczoną za kogo innego za mąż“. Podobnych niewspółmierności w przytaczaniu faktów możnaby wytknąć poważną ilość. Ograniczę się tu do kilku szczegółów dotyczących rozdziału „dzieje żywiołu polskiego w 18 i 19 wieku“. Autor wyszczególnia np., że na Warmii urodzili się historyk Sieniawski i orientalista Pietraszewski, równocześnie pomija **działających** na Warmii ks. Walentego Barczewskiego i Andrzeja Samulowskiego; pomija także, obok innych zresztą, regionalistę mazurskiego, Jana K. Sembrzyckiego; mówi o krótkotrwałej „Gazecie Ludowej“ (1896—1901), milczeniem zaś pokrywa najbardziej zasłużoną „Gazetę Olsztyńską“ Pieniężnych, która od r. 1886 aż do wybuchu wojny w r. 1939 nieprzerwanie broniła praw polskich na szańcu wschodnio-pruskim. Również ani słowem autor nie podkreśla polonizacyjnej ani kulturalnej roli dworów np. Sierakowskich w Waplewie. Poprawki wymaga data śmierci Mrongowiusza, który zmarł w roku 1855 a nie 1854 r.

Nie można także zgodzić się z potraktowaniem niektórych problemów. Moim zdaniem, autor zbyt mało miejsca poświęca pierwotnym mieszkańcom Prus; nie znajduje potem oceny, dla ich tragedii, jaka przeżyli w ciągu 13 wieku, tragedii, która nam dzisiaj, po ostatniej wojnie, jest szczególnie bliska, hitlerowcy bowiem wzorowali się w wyniszczeniu ludów na metodach krzyżackich z 13 wieku. Toteż jak zgrzyt odczuwa się zdanie: „Wstyd ogarnia Polaka na myśl, że nie można było tego zrobić bez sprowadzenia Niemców“, zdanie, które wyrywa się autorowi po stwierdzeniu (str. 13), że Krzyżacy bez wielkiego trudu zdobyli Ziemię Chełmińską. Godnym ubolewania jest raczej to, że książęta polscy, uczestnicząc z Krzyżakami w krucjatach przeciwko Prusom, współdziałali w ich wyniszczeniu, nie mieli zaś dostatecznej własnej siły „podboju“ cywilizacyjnego. Księcia Świętopełka pomorskiego prof. Górski tradycyjnie nazywa „mordercą“ Leszka Białego, tymczasem, wiemy z nowszych prac, że taka opinia jest co najmniej niesprawiedliwa: sprężyna tego tragicznego wydarzenia znajdowała się w każdym razie poza Pomorzem. I jeszcze jedno. Autor nie wyjaśnia genezy biskupstwa — księstwa warmińskiego i w związku z tym specyficznej roli i znaczenia Warmii w obrębie terytorium pruskiego, co dlatego jest ważne, że tutaj właśnie kultura polska najgłębsze zapuściła korzenie i że do dziś na tym terenie najwięcej znajdujemy śladów tradycji polskich.

Przytoczyło się tutaj szereg uwag i zastrzeżeń, które mogą znaleźć uwzględnienie przy następnym wydaniu tej niewątpliwie bardzo potrzebnej i pożytecznej książki. Braki i niedociągnięcia występują w każdej pionierskiej pracy, a taki właśnie charakter przypisać trzeba tej publikacji, jak zresztą wszystkim studiom prof. Górskiego na tematy wschodnio-pruskie.

A. B.

WYDAWNICTWA INSTYTUTU MAZURSKIEGO.

W połowie ub. roku Instytut Mazurski z siedzibą w Olsztynie rozpoczął działalność kulturalną i oświatową, niedawno zaś podjął także działalność wydawnicza. Dotychczasowy jego dorobek w najogólniejszych ramach przedstawia się następujaco: Zorganizowanie szeregu kursów informacyjno-naukowych na tematy mazursko-warmińskie, zorganizowanie wystawy pamiątek plebiscytowych i wystawy kopernikowskiej (z okazji 403 rocznicy śmierci Kopernika), stworzenie Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Pasymiu i Warmińskiego Uniwersytetu Ludowego w Morągu. Poza tym I. M. współdziałał w urządzeniu „Godów Wiosennych“ w Olsztynie (w czasie Zielonych Świąt). Instytut Mazurski główną swoją inicjatywę wytęża w kierunku obrony praw ludności autochtonicznej.

Akcja wydawnicza mogła być podjęta stosunkowo późno ze względu na brak funduszów i duże trudności techniczne. Dotychczas nakładem I. M. ukazały się dwie popularne broszury Emilii Sukertowej-Biedrawiny pt. „Polskość Mazurów i Warmiaków“ (w dwóch wydaniach) i „Bojownicy mazurscy“. Pierwsza w sposób szkicowy przedstawia dzieje b. Prus Wschodnich z uwypukleniem związków z Polską, druga — przypomina zasługi szeregu działaczy przeważnie z XIX i XX wieku, przewijają się przed oczyma czytelnika m. in. postacie Mrongowiusza, Gizewiusza, Kętrzyńskiego, Linki, Kajki, Lanza, Barcza.... Zaletą obu broszur jest ich przystępność i przejrzystość.

Na tory bardziej naukowe wkracza wydawnictwo „Komunikatów Działu Informacji Naukowej“, wzorowane na tego rodzaju wydawnictwie Instytutu Bałtyckiego. Pierwszy zeszyt za lipiec, sierpień i wrzesień przynosi wartościową pracę młodego archeologa mgr Jerzego Antoniewicza, pt. „Zagadnienie ochrony zabytków archeologicznych w okręgu mazurskim“.

Wreszcie trzecim typem publikacyj jest „Plon czyli dożynki na Mazurach“ Karola Małłka, który tej pracy daje podtytuł „Materiały do widowiska ludowego“. Wchodzimy tutaj w dziedzinę literackiego folkloru. P. Sukertowa-Biedrawina w „słowie wstępnym“ zaznacza, że „Plon“ Karola Małłka to dalekie echo uroczystości żniwnych, które na terenie Pojezierza Mazurskiego rozbrzmiewały w czasach świętych lip i świętych źródeł prasłowiańskich“. Trzeba zaznaczyć, że Małłek, prezes Instytutu, jest autochtonem mazurskim.

A. B.

ODZYSKANE ZIEMIE — ODZYSKANI LUDZIE. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946. Str. 134+2 nlb.

Wciąż jeszcze istniejące niedociągnięcia i przeróżne sprzeczności w naszej polityce ludnościowej, kulturalnej i gospodarczej na Ziemiach Odzyskanych są spowodowane brakiem jednolitego programu, któryby ogarnął i rozwiązał najtrudniejsze kwestie pojawiające się w obecnej chwili na rozległych terenach od jezior mazurskich aż po Nysę Łużycką. Programu tego nie mogła wypracować młoda nasza administracja, doraźnie działająca na obszarach, których dzieje i stosunki wewnętrzne przeciętnemu Polakowi były prawie nieznane.

Książkę wydaną przez młode, lecz już zasłużone dla naszych spraw zachodnich wydawnictwo poznańskie, powinien więc otrzymać do ręki każdy obywatel działający na Mazurach, Wielkim Pomorzu i Śląsku, od szybkiego uświadomienia najszerszej opinii społecznej o sprawach repolonizacji na tych ziemiach jest bowiem zależny organiczny, duchowy zrost odzyskanych obszarów z Polską.

Wielkim błędem naszej myśli politycznej było zaniedbanie tych kwestii przed wojną, nie można się jednak temu dziwić, skoro ówczesne nasze rządy na bliższą nawet metę popełniały stokroć poważniejsze błędy. Lata wojny powinny były jednak przynieść krystalizację programu w zarysowujących się już wyraźnie na horyzoncie politycznym sprawach naszego powrotu nad Odrę. Ale oczywiście w chwilach, gdy toczyła się walka o biologiczne przetrwanie pod okupacją, nie stało na to czasu.

Dobrze jednak, że choć późno wprawdzie, lecz w każdym razie wyczerpująco zajęli się tą kwestią, uczeni i publicyści z prof. Wojciechowskim prof. Pollakiem, dr. Rogalskim i E. Męclewskim na czele. Wiele bowiem jest jeszcze spraw nietkniętych na Ziemiach Odzyskanych, którymi należy się zająć, aby duchowo włączyć zachodnie obszary w wielki, polski organizm państwowy. Trzeba ożywić dzieje tych ziem, zachować pozostałe tu pamiątki, folklor i kulturę, odmłodzić je i uczynić z nich narzędzie unifikacji. Trzeba wyplenić wszystkie ślady niemczyzny, odsłonić bogate złoża polskości zachowane wśród ludności autochtonicznej, zespolić ludność tą psychicznie i kulturalnie z warstwą napływającą, stworzyć kadry przywódców moralnych i intelektualnych i wreszcie wypracować tutaj typ czystej kultury demokratycznej, któryby świadczył wobec świata o naszej pracy na tych terenach i o nieodwołalności praw dziejowych, które postawiły nas na wiecznej straży polskości nad Odrą.

Tak więc wszechstronny program naszego postępowania na terenach odzyskanych obecnie istnieje. Miejmy nadzieję, że znajdzie on należyty oddźwięk i zastosowanie u wszystkich kompetentnych czynników i że dzięki niemu nie stracimy ani jednej duszy prawdziwie polskiej wśród autochtonów i że wkrótce na Mazurach i nad Odrą będziemy mieli jednolitą ludność, silną gospodarczo i kulturalnie.

K.

Wydawca: Zespół „Arkony“ w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Andrzej Bukowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8
Konta bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224, PKO nr VI-271.
Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31.
Cena numeru 15 złotych. Drukarnia Polska Spółdz. Wydawn. „Zryw“, Bydgoszcz 2301 — E-11204